

Wyspa Mgieł

Maria Zdybska



Maria Zdybska

KRUCZE SERCE: WYSPA MGIEŁ



Wyspa Mgiel

Copyright © Maria Zdybska

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-092-8

epub ISBN 978-83-7995-093-5

mobi ISBN 978-83-7995-094-2

Redakcja: Małgorzata Maksymowicz

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski, www.pawel.dobkowski.pro

Zdjęcia referencyjne: Marcus Ranum, www.ranum.com

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

**Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl,
www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl**

Dla M.

Spis treści

Prolog	9
Rozdział 1 Myśliwy i kruk	13
Rozdział 2 Pragnienia i nadzieje	23
Rozdział 3 Pióro i przeznaczenie	31
Rozdział 4 Piraci i perły	37
Rozdział 5 Trzewiki i długi	57
Rozdział 6 Cudzoziemiec i klątwa	69
Rozdział 7 Krew i wino	83
Rozdział 8 Zakładniczka i gość	91
Rozdział 9 Mgła i moc	105
Rozdział 10 Mapy i groźby	113
Rozdział 11 Sztorm i dylematy	121
Rozdział 12 Szepty i pożegnania	129
Rozdział 13 Podróż i pocałunki	137
Rozdział 14 Ugryzienia i zwierzenia	145
Rozdział 15 Krzyki i szepty	159
Rozdział 16 Kłusownik i łania	173
Rozdział 17 Miód i strzały	183

Rozdział 18 Wilki i wiedźmy	193
Rozdział 19 Mag i baranina	199
Rozdział 20 Noc i negocjacje	207
Rozdział 21 Powitanie i krakanie	217
Rozdział 22 Śniadanie i bogowie	225
Rozdział 23 Labirynt i porachunki	239
Rozdział 24 Łuk i przesłuchanie	255
Rozdział 25 Bezsenność i wybory	263
Rozdział 26 Karczmarka i skrzydła	265
Rozdział 27 Szyszki i Łowcy	271
Rozdział 28 Odsiecz i niewdzięczność	277
Rozdział 29 Ból i głosy	293
Rozdział 30 Wyspa i źródło	301
Rozdział 31 Drzewo i wota	309
Rozdział 32 Kapłanki i niespodzianki	325
Rozdział 33 Powroty i propozycje	335
Rozdział 34 Zazdrość i zaufanie	343
Rozdział 35 Rozpacz i porwanie	357
Rozdział 36 Kajdany i wróżby	371
Rozdział 37 Ucieczka i дума	381
Rozdział 38 Duchy i wyjaśnienia	391
Rozdział 39 Uzdrawienie i koszty	399
Rozdział 40 Konfrontacje i tłumaczenia	405
Rozdział 41 Taniec i klatka	409
Rozdział 42 Ocalenie i ofiara	417
Rozdział 43 Burza i przebudzenie	425
Rozdział 44 Lis i skorpion	435
Rozdział 45 Pustka i przestworza	449
Rozdział 46 Początek i koniec	455

Prolog

Niebo miało intensywny kolor indygo. Delikatne prążki płynnego srebra raz po raz przebiegały po jego powierzchni, a czarne błyszczące kłęby chmur pęczniały i wybuchały, rozpadając się w miliony błyszczących pereł z narastającym szumem miażdżącej płuca wody. Zamrugła oczami powoli, z trudem, walcząc ze słonym, piekącym uściskiem głębin. Niebo zafalowało, szum żywiołów zaczął się niepokojąco wzmacniać. Wyciągnęła przed siebie rękę, przyglądając się jej ze zdziwieniem. Była blada, szklista, jakby niewyraźna. Potrząsnęła głową, spróbowała rozejrzeć się dookoła i poczuła, jak pukle włosów unoszą się powoli coraz wyżej i wyżej wokół jej twarzy, zasłaniając oczy i oplątując usta.

Za sobą dostrzegła tylko czarną otchłań, unoszącą się nieśpiesznie w rytmie uspiętego oddechu jakiegoś mrocznej i niebezpiecznej istoty. Niebo nad nią kłębiło się, wirowało, huczało. Świat zadrżał, zakołysał

się, indygo zmieniło się w błyszczący obsydian, srebrne pręgi spienionej wody przeistoczyły się w fale ciężkiego ołowiu, tchnienie wiatru stało się wściekłym, wilczym wyciem. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, krzyknąć, wezwać pomocy, ale głos uwiązł jej w gardle, zachłysnęła się coraz szybciej wibrującym płynnym srebrem, które bez ostrzeżenia wypełniło wszystko wokół.

Poczuła nagle ostry ból i brutalne szarpnięcie. Coś ciągnęło ją w górę, w stronę coraz głośniejszego huku, w stronę szaleńczo falującego nieba. Pierwszy gwałtowny oddech wdarł się w jej płuca z rozrywającym bólem. Lodowato zimne strugi wody bezlitośnie smażyły jej twarz. Zacisnęła z całych sił powieki, starając się uspokoić, skupić się na czymkolwiek, ale w głowie miała tylko pustkę.

– Wyrzucić to diabelstwo z powrotem za burtę! – Głos był niski i chrapliwy, dochodził gdzieś z góry. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła kilka nachylających się nad nią w ciemności postaci. Ryczące morze wściekle kołatało o burty żaglowca.

– To zły omen – warknął drugi głos, niższy, z dziwnym akcentem. Jego właściciel o ogorzałej od morskogo wiatru twarzy miał duży złoty kolczyk w nosie i tylko jedno ucho. Splunął zamasyście i szturchnął ją z odrazą końcem mokrego buta. Wicher zawył i mocno szarpnął tkaniną żagla.

– Przeklęty północny wiatr... – Trzecia postać, niższa i zakapturzona, wydawała się nie mieć twarzy, mdłe światło księżyca oświetlało tylko kościsty profil

o wydatnym nosie. Wiatr targał napiętymi do granic możliwości linami. Zimny deszcz zaczął niemiłosiernie, niosąc ze sobą zapach jodu i wodorostów.

– Bzdura! – Ostatni głos był ostry jak brzytwa i dźwięczała w nim nuta niekwestionowanego autorytetu. – To tylko ledwie żywe dziecko! Jak nam tu umrze, bogowie z pewnością nie będą zadowoleni! – Zaklął w obcym języku i pociągnął łyk rumu z butelki. Jego łysa czaszka była pokryta misternie wykonanym tatuażem, wyobrażającym różne wiatrów. – Jorg! Zabierz ją do mojej kajuty i opatrz rany.

– Tak jest, kapitanie!

Jakieś szorstkie ręce bez ostrzeżenia podniosły ją brutalnie do góry. Jej ciało wydawało się dziwnie lekkie w swoim bezwładzie, a chłód morskiej wody, przenikający ją nadal do szpiku kości, sprawiał, że czuła się całkowicie obojętna na wszystko.

– Jak się nazywasz? – zapytał potem łagodnie Jorg, bandażując jej ramię.

Pustka...

– Skąd się tu wzięłaś, w środku sztormu?

Skąd...?

Jorg musiał coś dostrzec w jej oczach.

– Morze jest bezlitosne, mała, ale ostatecznie nic w nim nie ginie. – Zaśmiał się ponuro, obnażając brak górnych jedynek. Na zewnątrz wiatr jęczał, uderzając w burty żaglowca potężnymi szkwałami, jakby chciał odzyskać to, co mu odebrano. – Wszystko sobie przypomnisz, jak tylko dojdiesz do siebie.

Kłamca.

Myśliwy i kruk

„Jesteś martwy” – uświadomiła sobie z żalem, chociaż on najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Jeszcze nie teraz.

Jeleń spokojnie skubał trawę na skraju lasu. Raz po raz powoli, z gracją podnosił głowę w oprawie majestatycznych rogów. Lirr wydawało się chwilami, że zwierzę patrzy wprost na nich, gdy jego błyszczące czarne oczy z namysłem, choć bez paniki rozglądały się po okolicy. To było jednak tylko złudzenie. Wybrali świetną kryjówkę wśród ogromnych paproci, a delikatne tchnienie wiatru na twarzy przekonywało dziewczynę, że stoją po zawiętrznej i rogacz ich nie wyczuł. Nie miał najmniejszych szans.

„Jesteś martwy” – pomyślała znowu ze smutkiem, zaciskając nerwowo pięści. Nie chciała na to patrzeć. Już po raz setny tego ranka obiecała sobie w duchu nigdy więcej nie tknąć pieczeni z jelenia. Była tu tylko ze względu na Caela.

Spojrzała z ukosa na księcia, nerwowo przełykając ślinę. On głębiej schował głowę w ramiona i niżej przyklęknął w paprociach, szukając lepszego podparcia do strzału. W jego skupionym wzroku, w oszczędnych ruchach, w delikatnych poruszeniach kości jego zaciśniętej szczęki była jakaś ostateczność, zapowiedź tego, co miało się zaraz wydarzyć.

Odkąd mieszkała na stałym lądzie, wielokrotnie wybierała się z Caelem na polowania. Nawet sama nauczyła się nieźle strzelać z łuku i kuszy, przyzwocie władała mieczem, nie podzielała jednak jego myśliwskiej pasji. Broni powinno się używać w walce, powtarzał jej Hego. Wielogodzinne tropienie jelenia nie było w jej guście.

Zagryzła wargę, tłumiąc westchnienie, gdy promień słońca przebił się przez gęstwinę drzew i na moment rozświetlił ciemnozłote poroże. Jeleń wyglądał, jakby nosił koronę. Był zbyt wspaniały, zbyt niewinny, zbyt... myślący, by umrzeć. Potrząsnęła głową, oddalając od siebie te idiotyczne myśli. Przecież widziała przedtem śmierć człowieka więcej razy, niż mogła to zliczyć, dlaczego więc wizja umierającego jelenia rozdierała teraz jej serce?

„Być może życie na lądzie mnie zmiękczyło” – pomyślała, zła na samą siebie. W końcu to tylko zwierzę. Źródło mięsa, trofeum, nic więcej. Mimo wszystko czuła się jak intruz.

Cael za to był w swoim żywiole. Bezszelестnie wyciągnął się w paprociach i przylgnął do ziemi, opierając twarz o pień zwalonego drzewa, pokryty miękkim mchem. Lirr kucała tak blisko, że czuła, jak on

zastyga w bezruchu, skupiając się na celowniku kuszy. Las wstrzymał oddech, znieruchomiał. Dziewczyna bezwiednie pochyliła się nieco do przodu i delikatnie dotknęła ramienia myśliwego.

„Uciekaj!” – pomyślała w duchu, zaciskając zęby, żeby się uspokoić. Rogacz spojrzał wprost na nią, przysięgłaby, że dokładnie w tej chwili popatrzył jej prosto w oczy i nagle przerwał spokojne przeżuwanie trawy. Lirr oderwała w końcu od niego wzrok i spojrzała nerwowo na plecy Caela, zastanawiając, się, jak bardzo będzie się wściekał, jeżeli jelen ucieknie. „Łajno wieloryba...!” – zaklęła w myślach. – „No dalej, uciekaj!” – zaklinała gorączkowo rogacza.

Jeleń lekko drgnął, jakby w reakcji na nagły hałas, chociaż w lesie panowała przytłaczająca cisza. Spojrzał bokiem w stronę ich kryjówek i zastrzygł uszami. Chłopak bezszelestnie poprawił podparcie i zastygł w pozie strzelca. Dziewczyna zagryzła wargi, krew zaczęła głośno tętnić jej w uszach. „Teraz albo nigdy!” – przemknęło jej przez myśl, wyciągnęła powoli dłoń, zamierzając klepnąć Caela w ramię, pchnąć go, szarpnąć, zrobić cokolwiek, żeby wytrącić go z tego stanu koncentracji, ale zanim zdążyła, usłyszała nieoczekiwane poruszenie.

Zza pnia, na którym opierał się Cael, spomiędzy potężnych, cienistych paproci, wyłonił się ogromny kruk. Uderzenia rozłożystych skrzydeł szybko wzniosły go w górę z głośnym świstem poruszonego powietrza, rozchylając paprocie i mierzwiąc jasne, kręcone włosy księcia.

Kruk wydał z siebie przeszywający dźwięk i zaczął przebijać się pomiędzy płataniną sosnowych gałęzi ku koronie drzew. Przenikające gdzieś pomiędzy konarami poranne promienie słońca wydobywały dziwne, kobaltowe refleksy na jego błyszczących piórach. Jeleń tylko przez ułamek sekundy obserwował ptaka, by po chwili rzucić się do ucieczki. W potężnych skokach szybko zniknął w zieleni lasu, która skryła go jak opuszczona raptownie ciężka, aksamitna zasłona.

Cael poderwał się z miejsca i z niedowierzaniem popatrzył na kruka, który usadowił się na gałęzi parę metrów nad nimi i przekrzywiając głowę, patrzył na nich z pogardą. Był potężny, większy nawet od skalnego orla. Prawdziwa bestia o ostrych szponach, które mogły z powodzeniem rozerwać ofiarę, i o imponującym, masywnym dziobie. Jedno błyszczące czarne oko mrugnęło porozumiewawczo. Lirr nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w tym spojrzeniu było coś złowieszczego.

– Wstrętne ptaszysko! – rzucił Cael z furią przez zaciśnięte zęby.

– To zbieg okoliczności. – Uśmiechnęła się pojednawczo Lirr, choć w rzeczywistości musiała bardzo się postarać, żeby nie wybuchnąć szalonym śmiechem.

Kruk w odpowiedzi ponownie głośno zakrakał:

– Arrr! – dodał jeszcze, szydząc.

Cael rzucił mu mordercze spojrzenie. Tylko przez chwilę wydawał się oszołomiony swoją nieoczekiwaną porażką, instynkt łowcy szybko przejął kontrolę nad umysłem. Znów zadarł głowę do góry i błyskawicznym ruchem podniósł kuszę, mrużąc jedno oko do strzału.

Bełt wyleciał w górę tak szybko, że Lirr nawet nie zdążyła uświadomić sobie, co się dzieje. Z głuchym dźwiękiem wbił się głęboko w pień sosny, milimetry od kruka, muskając przedtem koniec jego skrzydła. Jedno połyskujące na kobaltowo pióro spadło po chwili, obracając się spiralnie, i wylądowało miękko w zmierzwionych włosach Caela.

– Krrrr...! – skomentował kpiąco kruk, przestępując powoli z nogi na nogę na swojej gałęzi i przechylając głowę to w prawo, to w lewo.

Lirr mogłaby przysiąc, że w jego oczach było coś z ironicznego uśmieszku. Czy kruk w ogóle może się uśmiechać? Ten najwyraźniej potrafił.

– Niech to szlag! – Caela ogarnęła wściekłość.

– Daj spokój. – Lirr potrząsnęła energicznie głową, znów z całej siły starając się nie roześmiać. Jej niepokorne włosy szczęśliwie ukryły rozbawienie.

– To był dziecinnie prosty strzał... – Nerwowo potarł czoło.

– To był wyjątkowy pech. – Lirr podeszła do niego bliżej. A raczej wyjątkowe szczęście, dodała w myślach.

– Dawno nie widziałem takiego poroża – jęknął nieszczęśliwy Cael, westchnął i zrezygnowany opuścił kuszę.

– A ja takiego kruka! – Zaśmiała się i delikatnie wyciągnęła pióro, które zaplątało mu się we włosach tuż nad prawym uchem. Uniosła je tuż przed oczami chłopaka, obracając w palcach, i odważnie spojrzała mu prosto w oczy, rzucając wyzwanie.

Cael przyglądał mu się przez chwilę z grymasem, po czym szybkim ruchem złapał ją za nadgarstek, a drugą ręką wyciągnął pióro i niespodziewanie przesunął jego czarnym aksamitnym brzegiem po jej twarzy. Lirr poczuła skurcz w żołądku i ponowny przypływ adrenaliny. Stali teraz twarzą w twarz, zaledwie na odległość ramienia. Dziewczyna znieruchomiała, zupełnie jak jeleń przed chwilą, i zmrużyła oczy z lekkim niedowierzaniem.

„Odważ się” – zaklinała go w duchu. – „Pocałuj mnie wreszcie!”.

Cael wydawał się poważny, ale w jego spojrzeniu jak zwykle tliło się coś na kształt stłumionego rozbawienia. Nienawidziła, gdy patrzył na nią w ten sposób, inaczej niż choćby na Anelli albo na niektóre damy dworu, gdy w kącikach jego oczu pojawiały się delikatne zmarszczki, zupełnie jakby nie brał jej na poważnie, jakby była dla niego tylko niesfornym dzieckiem, egzotyczną towarzyszką zabaw, w każdym razie nikim, kto potrafiłby wzburzyć w nim krew.

– No co? – Nie wytrzymała napiętej ciszy między nimi. Jej głos był zbyt stłumiony i zbyt wysoki, żeby brzmiał naturalnie. Sama jego bliskość wywoływała lekki zamęt w jej głowie.

– Nic takiego. – Oczy dalej starały się poskromić uśmiech. Nie mogła tylko rozstrzygnąć, czy jej zmieszanie go cieszy, czy raczej bawi.

Jak zahipnotyzowana pochyliła się lekko w jego kierunku, w stronę szafirowych tęczówek, zapraszających ust, opalonej twarzy i rozjaśnionych letnim słońcem

włosów, które tak dobrze знаła. „No dalej” – namawiała w duchu i jego, i siebie.

Cael jednak, zamiast ją pocałować, niespodziewanie końcem pióra połaskotał ją po czubku nosa.

– Aaaaapsik!!! – Kichnęła z takim impetem, że niemal straciła grunt pod nogami.

– Na zdrowie. – Bezceremonialnie wetknął pióro we włosy tuż nad jej uchem. Podniósł kuszę i ruszył przed siebie, ku miastu. – Dobrze, że mamy chociaż kuropatwy – rzucił przez ramię. Z jego głosu znikł zupełnie uśmiech, który jeszcze przed chwilą tak ją zirytował.

Lirr westchnęła w duchu i z pewnym ociąganiem ruszyła za nim. Znowu dała się podejść. Kopnęła najbliższy polny kamień, obiecując sobie po raz setny, że następnym razem sama go po prostu pocałuje, niech no tylko wszystko się uspokoi, niech on tylko przestanie być taki nieobecny, niech wszystko przestanie się kręcić wokół Maeve.

Przyjaźniła się z Caelem niemal od pierwszej chwili, gdy znalazła się w Ysborgu. To dzięki niemu zamek nie wydawał się jej więzieniem, oczywiście wyłączając chwile, gdy zachowanie jego matki boleśnie przypominało o tym, że nie jest to jej prawdziwy dom.

Cael nauczył ją życia na stałym lądzie, pokazał ulotne piękno budzącego się o świcie lasu, surowy majestat niedostępnych górskich grani, jeziora o wodzie mroźnej i przejrzystej, ukryte w zielonej gęstwinie, niektóre ciemne jak noc podczas nowiu, inne błękitne jak niebo, które się w nich przegłędało.

To z nim pierwszy raz odważyła się wyruszyć tak daleko w głąb łądu, że straciła z oczu uspokajający widok morza na horyzoncie, to przy nim pierwszy raz spędziła noc w leśnej głuszy.

Nie pamiętała nawet, kiedy zaczęła zasypiać z myślą o nim i wstawać z nadzieją na kolejne spotkanie, od jak dawna każda chwila sam na sam zaczęła w niej budzić nieznaną dotąd nieśmiałość, od kiedy nerwowo spuszczała wzrok i czerwieniła się za każdym razem, gdy był blisko.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o jego intensywnym spojrzeniu, po chwili jednak westchnęła. Kolejny kamień, który napatoczył się jej pod nogi, pofrunął z imponującą prędkością w stronę ciemnej ściany lasu. Cael nie zareagował, krocząc miarowo niemal niewidoczną ścieżką wśród kwitnących łąk. Był tak blisko, a jednak nadal kompletnie poza jej zasięgiem. Nienawidziła tej bezsilności. Nie przywykła do trzepotania rzęsami i oblewania się rumieńcem. Czuła się idiotycznie. Woląла czasy, gdy kradli Rosmercie z kuchni jeszcze gorące miodowe ciastka i rzucali kamieniami w mewy, bujające się na masztach stojących w porcie statków. Wtedy wszystko było prostsze.

Cael wydawał się zupełnie nie zauważać uczuć, które powoli, coraz bardziej przejmowały nad nią kontrolę. Być może w końcu zdał sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy była tylko zakładniczką w jego zamku, gwarancją wzajemnych interesów jego matki – księżnej Ysborga – i jej przybranego ojca, wpływowego korsarza Hego. Zagryzła wargi w irytacji. Za-

mierzała w końcu zapytać go o jego uczucia wprost, bez ogródek i uników. Może nawet wziąć nóż i zmusić go, żeby ją pokochał. Czemu nie? Uśmiechnęła się do tej kuszącej wizji.

Na razie jednak zamiast tego szła za nim posłusznie, nie odzywając się nawet słowem, wściekła na swój los, wściekła na jelenia, na kruką, na Caela i na siebie. Czemu obecność księcia zawsze czyniła z niej taką nieśmiałą owieczkę? Hego miałby z niej niezły ubaw. Brakowało jej tylko jednej z tych idiotycznych kokard, jakie nosiła Annelli.

Lirr patrzyła w roztargnieniu na kołyszące się miarowo w rytm kroków kuropatwy, przerzucone przez plecy Caela. Gdy dostrzegła przed sobą kolejny potężny, błyszczący skalny odłamek, zamachnęła się na niego z pasją, wkładając w kopnięcie całą stłumioną agresję. Zielony kształt był dziwnie miękki, a przy zderzeniu zarechotał boleśnie. Ogromna ropucha poszybowała nad ścieżką, o włos mijając zamyślonego księcia. Nawet oburzony skrzek nie zwrócił jego uwagi.

„To zły omen!” – pomyślała, tłumiąc nerwowe drżenie serca.

Pragnienia i nadzieje

Po godzinnym milczącym marszu dotarli na rozległą polanę kwitnącą drobnymi, żółtymi kwiatami. Czasami zatrzymywali się tu na popas, bo koniom wydawały się one wyjątkowo smakować, dziś wybrali się jednak pieszo. Za plecami zostawili masywne szczyty Gór Srebrnych, a przed nimi roztaczał się wspaniały widok na Ysborg i połyskujące w dali morze. Kiedyś Lirr widziała tu tańczące w podnoszącej się porannej mgłę zielonowłose driady. Zanim zdążyła wskazać je Caelowi, rozplynęły się w promieniach wstającego słońca jak ulatujące senne wspomnienie. Rozejrzała się badawczo wokół. Tym razem byli na polanie zupełnie sami.

Z tej perspektywy miasto widać było jak na dłoni. Budynki wzniesione ze srebrnobiałego kamienia mieściły się w słońcu, południowe mury, wielobarwnym pasmem okalały ciągle rozrastające się podzamcze. Od północy górował nad miastem zamek o czterech strzelistych wieżach. Sąsiadował z ruchliwym portem,

który był głównym źródłem obecnej potęgi i bogactwa Ysborga. Jeszcze dalej, na wschodzie, wśród ciemnych fal migotały dziesiątki skalistych wysepek rozrzuconych u ujścia szeroko rozlanej rzeki Ys.

Lirr sięgnęła po niewielką mosiężną lunetę, która dyndała dotąd bezpiecznie przytroczona do jej pasa. Wygrała ją kiedyś w kości od kwatermistrza Płonącej Wiedźmy. Luneta była stara, nieco krzywa i wyglądała, jakby uczestniczyła w niejednym krwawym abordażu, przypominając tym swojego poprzedniego właściciela, ale spełniała swoją funkcję. Przymglona soczewka pozwoliła Lirr dostrzec jedynie niewyraźne sylwetki statków wpływających i wypływających z portu. Nawet gdyby mogła rozpoznać kolor takielunku, nie spodziewałaby się purpurowych żagli Hego. Wiedziała, że o tej porze roku nigdy nie zawijał do Ysborga.

– Usiądziemy? – Cael wykonał niedbały gest w kierunku samotnego starego dębu, pod którym zwykle spędzali czas na rozmowach, oprawianiu upolowanych zwierząt i obserwowaniu miasta w dali.

Lirr skinęła lekko głową i uśmiechnęła się, wracając myślą do tych wszystkich bez troskich chwil, z jakimi kojarzyło jej się to miejsce. Rzuciła na ziemię bukiet pomieszanych ziół, które z nudów pozbierała po drodze i zajęła swoje miejsce pod drzewem.

Odkąd zachorowała matka Caela, chłopak traktował polowania jak rodzaj uspokajającego rytuału, w którym Lirr solidarnie, choć bez entuzjazmu brała udział. Coś też zmieniło się między nimi; choć każdego dnia spędzali razem kilka godzin, rozmawiali mało,

a książkę nabrał nawyku nagłego przerywania rozmowy i pograżania się we własnych myślach. Z dnia na dzień ich relacje stawały coraz mniej swobodne, a on coraz częściej zamykał się w sobie. Im dłużej milczał, tym bardziej stawał się dla niej obcy, tym bardziej ponury wydawał jej się zamek Ysborg i tym mocniej tęskniła za morzem.

Przez dłuższą chwilę po prostu patrzyli przed siebie. Dziewczyna objęła ramionami kolana i oparła na nich podbródek. Cael wziął do ust długie źdźbło trawy i żuł je, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Dziś do matki przyjedzie medyk z Południa – rzucił, nie patrząc na nią.

Lirr podniosła brwi w niemym pytaniu.

– Nasi nie są w stanie jej pomóc, poza... uśmierzeniem bólu... – Wypowiedział te słowa niemal beznamiętnie, ale Lirr dostrzegła kątem oka nerwowy ruch jego dolnej szczęki.

– Posłuchaj, Cael... wiem, że... wiesz, ale pamiętaj, że jeżeli mogę cokolwiek dla ciebie... dla niej... zrobić, wystarczy żebyś...

Spuściła wzrok. Nie mogła teraz na niego patrzeć. Nie chciała kłamać, nie w ten sposób. Nigdy nie lubiła – ze zwielokrotnioną wzajemnością zresztą – księżnej Maeve, stąd obecny stan matki Caela zdrowia nie wzbudzał w niej większych emocji poza łagodnym współczuciem, jakie odczuwa się w stosunku do bliżej nieznanym nam osób, kiedy znajdują się w trudnej sytuacji. Zresztą, kogo ona oszukiwała. To, czy Maeve przeżyje, interesowało ją wyłącznie ze względu na Caela.

Zrobiłaby wszystko, żeby przywrócić mu radość życia. Reszta nie miała znaczenia.

– Nic nie możesz zrobić. Ani ja... To jest najgorsze w całej tej sytuacji. – Cael znów patrzył w dal, jakby obserwował jeden ze statków w porcie. Lirr mocniej ścisnęła kolana i pozwoliła swoim niesfornym włosom, pozaplatanym gdzieniegdzie w cienkie warkoczyki, opasć na twarz, chowając ją przed jego wzrokiem. Bezwiednie wzięła znów do ręki pióro kruka i obróciwszy je wielokrotnie w palcach, wpięła w koniec jednego ze swoich warkoczyków, w których były już białe muszle, turkusowe koraliki i kawałki wstążek. Odkąd przygarnęli ją piraci, właśnie w ten sposób ozdabiała swoje włosy i pomimo czteroletniego pobytu w zamku uparcie nie dostosowywała się do tutejszych kanonów mody.

– Co to za człowiek? – zapytała po chwili, bo coś nie dawało jej spokoju. Tajemnicze umiejętności medyków stawiały ich niebezpiecznie blisko magów, a Ysborg odrzucał dotąd wszystko, co choć trochę śmierdziało ciemnymi mocami.

– Nazywa się Viorel, jest... czy raczej był zaufanym lekarzem króla Daxos z Ognistej Ziemi An-Nar. – Cael lekko się skrzywił przy ostatnich słowach.

– I Maeve zgodziła się skorzystać z jego usług? – Lirr nie mogła w to uwierzyć. Księstwo Ysborg ze swoim potężnym portem i całą armią sprzymierzonych korsarzy od zawsze miało ambicje zdobycia hegemonii na północnych i zachodnich wybrzeżach Wielkiej Ziemi, a jego stosunki z potężnym Południem, choć dyplomatycznie poprawne, podszyte były niechęcią.

– Nie jest członkiem dworu, wywodzi się podobno z jednego z pustynnych plemion... No i jest do wynajęcia. – Cael obojętnie wzruszył ramionami i przesunął żdźbło trawy do drugiego kącika ust.

– Musisz zatem być dobrej myśli. Hego mówił mi kiedyś, że ci medycy z Południa potrafią zdziałać cuda. – Wbrew sobie uśmiechnęła się szeroko, starając się zagłuszyć wewnętrzny niepokój. Nie dodała jednak, że Hego mówił też o wysokiej cenie za ich usługi. Podobno rzadko jest wyrażona tylko w pieniądzu i bezpieczniej od razu obcinać tym szarlatanom języki, żeby nie dać się omamić ich plugawym sztuczkom.

Nie odpowiedział, nawet nie skinął głową, po prostu wpatrywał się uparcie w jakiś punkt gdzieś w dali. Widoczna z bliska delikatna opuchlizna i drobne zmarszczki wokół oczu zdradzały dziesiątki nieprzespanych nocy. Zwykle wesoły i pełen energii, teraz w ogóle nie przypominał dawnego siebie. Przygarbiony, zmęczony, oddalał się od niej, odpychał ją, pograżając się we własnym smutku. Lirr spojrzała w górę, powstrzymując mruganiem podejrzaną wilgoć na rzęsach. Po dłuższej chwili milczenia Cael powoli podniósł się z trawy.

– Czas wracać – stwierdził krótko. – Rosmerta nie dostanie jelenia, ale może pan medyk nie pogardzi kuropatwami – dodał z wymuszonym humorem.

– Chodźmy. – Lirr wyprostowała się i przeciągnęła leniwie jak kot. – Oby tylko znów nie kazali mi się ubierać w jedną z tym okropnych sukni. – Rzuciła mu ironiczny półuśmiech.

Cael zaśmiał się kpiąco i szturchnął ją łokciem w bok. Lirr straciła równowagę i lekko zachwiała się na nogach, lecz on zdołał szybko złapać ją w tali.

– No wiesz, czasami mogłabyś wyglądać jak dziewczyna. – Zauważył, taksując ją śmiałym wzrokiem od znoszonych, sznurowanych myśliwskich butów po zmierzwione wiatrem czarne włosy, częściowo poskręcane w niedbałe pukle, częściowo pozaplatane w cienkie warkoczyki ozdobione na piracką modłę.

Nagle zrobiło się duszno, bardzo duszno, parno i gorąco, zupełnie jakby ktoś podpalił las wokół nich. Dotyk jego dłoni na jej talii wyzwolił przyjemne drżenie, przechodzące gwałtownymi falami przez całe ciało. Lirr poczuła, jak jej oddech przyspiesza i przez chwilę patrzyła na niego w niemym zdumieniu. Książkę otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale w końcu rozmyślił się i przez chwilę po prostu milczał, przypatrując się jej pochmurnie spod na wpół przykniętych powiek.

– Ciekawe, jak miałabym dotrzymać ci kroku na polowaniu, biegając w atłasowych trzewikach! – Ocknęła się i szarpnęła się nerwowo, starając się wyzwolić z jego uścisku, uciekając wzrokiem, bo poczuła, że wbrew sobie się czerwieni.

Cael nadal trzymał ją jednak blisko przy sobie, zbyt blisko, żeby mogła odetchnąć, zbyt mocno, żeby mogła odzyskać jasność myśli.

– Potrzebuję cię. – Jego szept był ledwie słyszalny, jego słowa tak ciche, że musiała sama się przekonywać,

czy się nie przesłyszała. Tym razem na jego twarzy nie było nawet cienia lekceważącego uśmiešku.

– Bądź na dzisiejszej uczcie – dodał po chwili już głośniej, pewniej. – Chcę wiedzieć, co sądzisz o tym medyku.

Pióro i przeznaczenie

– Ptactwo? – Ochmistrzyni skrzywiła się na widok niezbyt tłustej zdobyczy, którą Lirr wręczyła jej z triumfalnym uśmiechem.

– Jeleniowi udało się uciec. – Wzruszyła ramionami i usiadła na potężnym stole, machając wesoło nogami. Nie mogła powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

– Udało się? – Rosmerta jak zwykle była bardziej spostrzegawcza, niż mogłoby się wydawać. Z westchnieniem rzuciła kuropatwy na solidny dębowy blat i ruchem podbródka wskazała je jednej z kucharek, niemal natychmiast wracając wzrokiem do Lirr. Jej bystre szare oczy przyglądały się dziewczynie z niepokojącą wnikliwością.

– Chyba nie jesteś zbyt zmartwiona? – stwierdziła raczej, niż zapytała, krzyżując ramiona na piersi.

Lirr uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi i złapała zwinnie miskę z nasączonymi rumem rodzynkami. Rosmerta zmarszczyła groźnie czoło.

– No cóż, wygląda na to, że księżna nie dostanie swojej ulubionej pieczeni z jelenia. – Westchnęła, wciąż przypatrując się podejrzliwie dziewczynie.

– Będzie musiała jakoś to przeboleć. – Lirr starała się udać smutną minę, ale utrudniał jej to niebiański smak rumowych rodzyneków. – Też uważam, że jelen zachował się doprawdy beczelnie, uciekając. Łajdak!

Rosmerta zamachnęła się na nią brudną kuchenną ścierką, ale nie zdołała ukryć rozbawienia.

– Cicho, bo napytasz sobie biedy – upomniwała ją przyciszonym głosem, wskazując porozumiewawczo podbródkiem skubiącą kuropatwy kucharkę. – I lepiej zrób coś z tymi włosami, mamy dziś ważnego gościa.

Lirr z przekorą i dumą przesunęła palcami po spletanych puklach. W kwestii fryzury nie było mowy o kompromisach. Sabade, czarnoskóry bosman na Zielonej Harpii, wierzył, że to we włosach mieszkają wspomnienia człowieka i zawsze podejrzliwie patrzył na ogoloną czaszkę Hego. Nawet jeżeli przesadzał, mała piratka nauczyła się od niego traktować własne włosy jak świętość, własny zbiór pamiątek i kolekcję ważnych chwil.

– Nie może być szczególnie ważny, skoro Maeve nie obawia się, że ją ośmieszę w towarzystwie. – Zrobiła głupią minę, udając obrzydzenie księżnej.

Rosmerta nie wydawała się ani odrobinę rozbawiona.

– Jest na tyle ważny, że księżna kazała mi dopilnować, byś pojawiła się na ucztach. – Ostrzegawczo wysunęła w jej stronę wskazujący palec. – Punktualnie – dodała z naciskiem i potrząsnęła ścierką dla lepszego efektu.

– Co ona znowu knuje? – Lirr jęknęła, wyobrażając sobie natychmiast torturę jednej z tych nadętych kolacji. – Zamierza rzucić mnie na pożarcie temu medykowi? A może chce ze mnie zrobić egzotyczną atrakcję wieczoru?

Ochmistrzyni spojrzała na nią z ukosa, biorąc się za sortowanie pomieszanych ziół. Wyraźnie zawahała się, zanim odpowiedziała.

– Podobno on sam o ciebie pytał – wyjaśniła przyciszonym głosem.

Lirr podskoczyła w miejscu, tknięta nagłym niepokojem.

– Jak to... Już tu jest? – Miała zdecydowanie złe przeczucia. Dlaczego jakiś wynajęty szarlatan, do tego południowiec i bywalec dworu, miałby się nią zainteresować?

Rosmerta nie odrywała wzroku od zielonego bukietu, rozdzielając wprawnie różne gatunki ziół od zupełnie bezużytecznych kwiatów, zebranych przez Lirr po drodze.

– Statek z Daxos o świcie zawinął do portu – bąknęła pod nosem.

Lirr pomyślała od razu, że jaśnie pan medyk pewnie nasłuchiwał się portowych opowieści o dziwnej dziewczynie wyłowionej z morza. „To zwykła ciekawość” – stwierdziła i odetchnęła, starając się uspokoić, ale nie potrafiła.

– Co dokładnie mówił? Czego chciał? – naciskała. Położyła dłoń na chudym, kościstym ramieniu Rosmerty, zmuszając ją, żeby popatrzyła jej w oczy.

– Nie wiem, dziecko. – Ochmistrzyni pokręciła z dezaprobatą głową, w jej spojrzeniu była troska. – Ale uważaj na niego.

Zanim Lirr zdążyła dopytać, co właściwie Rosmerta miała na myśli, kobieta wzięła do ręki jeden z jej warkoczyków i podniosła do oczu jego końcówkę z wetkniętym kruczym piórem. Jej wyraz twarzy zmienił się, zastygł w zamyśleniu, gdy, obracając pióro, dostrzegła kobaltowy połysk odbijający popołudniowe słońce.

– A co to takiego? – zapytała z niepokojem w głosie.

– Piękne, prawda? – Lirr uśmiechnęła się niepewnie, ale w duchu przeklęła spostrzegawczość ochmistrzyni i ze zniecierpliwieniem wyciągnęła warkoczek z jej palców. Rosmerta zdecydowanie zbyt często ingerowała ostatnio w jej prywatność.

– Piękne... ale niebezpieczne. To rzadki ptak. Nie przynosi niczego... dobrego. – Ochmistrzyni zamilkła i przez chwilę wydawała się błądzić myślami gdzieś daleko lub może raczej daleko w czasie. Przez moment wyglądała na starszą niż w rzeczywistości, na znieruchomiałej twarzy wyraźniej zarysowały się zmarszczki, a ciemnoszare oczy patrzyły w dal nieobecny wzrokiem. Lirr odstawiła cicho miskę z roźdzynkami. Nawet pulchna kucharka musiała poczuć nagłą zmianę atmosfery, bo zastygła i podniosła na nie pytający wzrok. Po chwili Rosmerta drgnęła lekko, jak wybudzona ze snu, i odruchowo poprawiła swoje srebrnoszare włosy upięte w wysoki kok spinką w kształcie muszli.

– Sama kiedyś mówiłaś, że nie można poddawać się strachowi i aby go pokonać, trzeba się z nim zaprzyjaźnić. – Lirr wzięła do ręki kosmyk z wetkniętym w niego piórem i obejrzała je z każdej strony. – A to tylko... pamiątka – uspokajała, ale Rosmerta nie przestawała kiwać głową. – Czy mam się go pozbyć? – zapytała w końcu cicho, szybko, sama zaskoczona nagłym impulsem. „To zły omen!” – Odezwało się w niej stare wspomnienie. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach jak wielki, niewidzialny pająk. – „Zły omen!”.

– Na to już za późno, moja droga. – Ochmistrzyni uśmiechnęła się blado i usiadła ciężko przy dębowym stole, na którym nadal w nieładzie leżała reszta zebranych w lesie ziół. – Zresztą, pewne rzeczy w naszym życiu są nieuchronne.

– Nie wierzę w przeznaczenie, Ros. – Lirr wzięła gałązkę swojej ulubionej wonnej szaławii i przysunęła ją do nosa.

Rosmerta zupełnie niespodziewanie wybuchnęła gorzkim, lekko skrzeczącym śmiechem.

– Akurat ty, moje dziecko, powinnaś być ostrożniejsza, jeżeli o nie chodzi!

Piraci i perły

– Wolniej, trochę... odrobinę wolniej, proszę!

Lirr westchnęła i postanowiła w końcu się zatrzymać – widząc, jak Rosmerta trzyma się za serce, sapiąc i próbując złapać spokojniejszy oddech.

Białe kamienne stopnie wydawały się więc w nieskończoność węzowymi serpentynami. Zamek Ysborg połączony był z portem na kilka sposobów, służba jednak zwykle korzystała z tych właśnie krętych, wąskich schodów, zamykanych kolejnymi potężnymi furtami, które prowadziły wprost do portowego targowiska, pełnego kupieckich stoisk.

– Ciągłe gdzieś gnasz! – poskarżyła się Rosmerta, nadal lekko sapiąc. Jej wydatny biust falował miarowo pod szaroniebieskim gorsetem obszytym okrągłymi białymi muszelkami, które były niemal tak samo ważnym symbolem Ysborga jak srebrny gryf. – Gdzie ci się tak spieszy?

Lirr tylko przewróciła oczami. Każda wizyta w porcie była dla niej ekscytująca, niezależnie od pogody, pory dnia i roku, nic dziwnego więc, że nie mogła się doczekać, kiedy znów się tam znajdzie. Zawsze mogła wtedy poczuć znajome zapachy morza, portu i cumujących statków, porozmawiać z żeglarzami, handlarzami, kupcami i piratami, być wreszcie, choćby przez krótki czas, sobą, być wreszcie... prawie w domu.

– Przepraszam, zamyśliłam się... – Uśmiechnęła się przepraszająco, puszczając oko. Wiedziała doskonale, że Rosmerta nigdy nie mogła się temu oprzeć. Pod całą tą jej maską nieznoszącego sprzeciwu i przypalonych garnków kuchennego autorytetu ostatecznie tkwiła troskliwa, serdeczna kobieta.

– Ty mała szelmo! – Ochmistrzyni odwzajemniła uśmiech, nadal trzymając się, trochę przesadnie rzecz jasna, za serce. Jeden krnąbrny srebrnoszary kosmyk włosów wydostał się jakimś cudem z jej misternego koka i opadł na policzek. – Co ja mam z tobą zrobić? – Westchnęła. – No dobrze. – Machnęła w końcu ze zrezygnowaniem ręką w jej kierunku. – Biegnij, gdzie tam uważasz, ja i tak muszę najpierw spotkać się z Olmertem.

Lirr musiała wykorzystać całą siłę woli, żeby nie ruszyć natychmiast pędem przed siebie.

– Potem pomogę ci z małżami i kałamarnicami. – Uśmiechnęła się przepraszająco do ochmistrzyni, przestępując z nogi na nogę i zerkając jednocześnie nerwowo w dół wibrujących w rozgrzanym słońcem powietrzu stopni.

– Idź już, idź. – Rosmerta znów machnęła z rezygnacją ręką. – Odszukam cię, jak będziesz mi potrzebna – dodała jeszcze, ale Lirr raczej domyśliła się treści jej ostatnich słów, niż je dosłyszała, bo pędziła już w dół, przesadzając susami po kilka stopni na raz.

Z każdym kolejnym spiralnym zakrętem szmer morza stawał się wyraźniejszy, a powietrze nasycalo się zapachem soli i schnących w słońcu alg. Lirr szybko zostawiła Rosmertę daleko za sobą i dotarła do ostatniej furty, którą można było otworzyć jedynie od środka, od strony zamku. Gdy zamknęła za sobą ciężkie, skrzypiące wrota, znalazła się w zarośniętym dzikim winem zaułku, który upodobały sobie z jakiegoś powodu portowe koty. Jeden z nich, weteran miejscowych walk, bez ogona i części prawego ucha, wylegiwał się ze stoickim spokojem w topniejącej plamie cienia, tuż pod ścianą. Uśmiechnęła się do siebie i bez zastanowienia nachyliła się, żeby go pogłaskać, ale gdy jej ręka była tuż, tuż nad jego głową, kot nagle zmrużył jadowicie zielone oczy, wypiął grzbiet w imponujący pałąk i z dzikim sykiem skoczył gdzieś poza jej pole widzenia. Ten nagły ruch tak ją zaskoczył, że na sekundę straciła równowagę i wpadła zadkiem prosto w winorośl.

– Chędożony, zawszony...! – zaczęła przeklinać pod nosem.

– Krrrrr...! – Przerwał jej zadowolony skrzekliwy głos nad głową. Nie do wiary. Podniosła wzrok i poczuła, że tym razem sama ma ochotę złapać się za serce jak Rosmerta. Ogromny, atramentowoczarny kruk ko-

łował właśnie niebezpiecznie nisko nad jej głową. Jego przenikliwe obsydianowe spojrzenie miało dziwną głębię, zupełnie jakby w tym ptaku było coś nadnaturalnego. Liście dzikiego wina poruszały się delikatnie pod wpływem jego olbrzymich skrzydeł. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ma przed sobą to samo pechowe ptaszysko, które tak zdenerwowało Caela.

– Zgniłe kiszzone śledzie... – szepnęła w rozpaczy i natychmiast sięgnęła ręką do wplecionego we włosy czarnego pióra. „Może to był jednak błąd...”. Skrzywiła się w duchu na myśl, że Ros mogła jednak mieć rację ze swoim zrządzeniem o kuszeniu losu.

– Krrr...!!! – Kruk nie spuszczał jej z oka ani najwyraźniej nie zamierzał się oddalać.

– Sio! – Wściekła się Lirr.

Ptaszysko tylko zamrugało jednym okiem. Mogłaby przysiąc, że w jego spojrzeniu pojawiło się coś wrednego. „Tak...” – przyznała sama przed sobą w zdumieniu. – „On sobie ze mnie kpi!”. Zdenerwowała się już całkiem serio i schyliła się szybko, zbierając z bruku luźne kamienie. Kruk zatoczył jeszcze jeden krąg i gdy ruszył ponownie w jej kierunku, zaczęła ze wściekłym zapalem ciskać w niego odłamkami z zamkowych schodów.

– Arrrr...!!! – skomentował kruk, ewidentnie obrażony. Żaden z kamieni nie trafił. Lirr poczuła, jak czerwienieje ze wstydu i złości. Nie pozostało jej nic innego, jak zignorować ptaszysko. Przynajmniej chwilowo.

– Zostaw mnie w spokoju! – rzuciła w górę stłumionym głosem, obawiając się, że gdyby ktoś ją teraz zobaczył, doszedłby do wniosku, że jest obłąkana. Wygła-

dziła nerwowo tunikę i poprawiła poplątane włosy, po czym wymknęła się z zaułka na kamienny deptak. Dopiero gdy znalazła się wśród portowego ruchu i gwaru, gdy otoczyli ją bezimienni podróżni, handlarze, gapie, przechodnie i zębata mątwą wie tylko kto jeszcze, poczuła ulgę. Wreszcie mogła odetchnąć, zapomnieć, że na co dzień żyje w pięknym, wytwornym więzieniu, gdzie setki oczu śledzą każdy jej krok, gdzie nawet słowa wypowiedane szeptem do Caela z całą pewnością dotrą następnego dnia do uszu księżnej, gdzie zamiast przyjaciół miała strażników, a zamiast przyszłości ciągle czekanie na odwiedzin Hego.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła swobodnym krokiem przed siebie. Dzień był bezchmurny i wyjątkowo upalny, wiatr delikatnie poruszał wantami stojących w porcie łodzi, a mewy unosiły się krzyczącymi chmarami, zataczając kręgi nad rybackimi barkami wyładowującymi towar na gwarным nabrzeżu. Powietrze przesycali zapachy morza i aromaty przypraw: słodkie, gorzkie, palące, kwaśne, pobudzały zmysły i zamraczały umysł, przywodziły wspomnienia jej podróży na Harpii, setki portów, jakie widziała i kolejne, o których tylko słyszała. Mijane twarze, blade jak zimowy poranek, czarne jak najciemniejsza noc, złote jak miód, wytatuowane albo pokryte metalowymi ozdobami, pomalowane albo zasłonięte maskami patrzyły na nią z obojętnością albo z zainteresowaniem, nikt tu jednak nie wiedział, nie mógł wiedzieć, kim ona dokładnie jest, widzieli tylko ubraną w myśliwskie spodnie i prostą tunikę dziewczynę o czarnych pospłatanych włosach.

sach i dziwnych oczach w kolorze morza; dziewczynę, która równie dobrze mogła być po prostu jedną z nich, podróżniczką odwiedzającą kolejny port, z tysiącem ojczyzn i bezdomną zarazem.

Lirr minęła szybko opasłe kupieckie koggi z ładunkiem miniaturowych czerwonych rybek używanych do produkcji szczególnie lubianego w Ysborgu ostrego sosu. Zarówno rybki, jak i sam sos odznaczały się niezwykle drażniącym aromatem, nic dziwnego zatem, że wokół ociekających słoną wodą skrzynek było niemal pusto. Nawet portowe dziewczyny reklamujące bezwstydnie swe nietanie usługi na całej długości portowego deptaka wyjątkowo od tej części nabrzeża trzymały się z daleka. Lirr wytrwale wstrzymywała oddech, mijając zacumowane statki, z których wyładowywano nieprzyjemnie woniejący towar. Przyspieszyła kroku i zwolniła, dopiero gdy znalazła się przy kwiatkach i owocach. Tu również nie miała jednak potrzeby dłużej się zatrzymywać, mimo że wśród dziesiątek beczek wypchanych suszonymi płatkami niebieskich róż, skrzynkami konserwowanej cukrem delikatnej wodnej lilii i workami bulw krwistych górskich konwalii dostrzegła niezwykle rzadkie, słonecznie żółte strzępiaste kwiaty, nazywane przez prostych zielarzy senną marą, które poza tym, że sprowadzały sen, były też cenionym środkiem na ataki wściekłości. Zawahała się przez chwilę, ale zaraz ruszyła dalej przed siebie. Rosmerta sama robiła zakupy, a na ziołach знаła się jak nikt, jeżeli zatem potrzebuje tych kwiatów, to z pewnością kupi je na własny rachunek.

W dalszej części portu Lirr nie spotkała niczego wyjątkowego. Wąskie, znane z szybkości łodzie handlarzy-wojowników z wysp rozsianych wokół Lodowego Przylądka załadowane były po brzegi futrami białych i błękitnych niedźwiedzi, fok i wilków. Szerokie, płaskopokładowe galery z leżącego obok Daxos niespokojnego Nakkan przywiozły milczących, rozrośniętych w barach najemników o pustych spojrzeniach, w skórzanych opaskach na czołach. Dalej cumowała cała kolekcja najróżniejszych prywatnych statków, którymi do Ysborga przyplýwali posłowie, znamienitsi kupcy z odleglejszych terytoriów, mniej znaczeni możnowładcy zapomnianych ziem i najróżniejsi inni interesanci, którzy mieli w tutejszym porcie jakieś swoje sprawy do załatwienia. Żaden z nich nie wydawał się jej podejrzany; żaden nie budził strachu czy nawet większej ciekawości, jednak coś nie dawało jej spokoju. Nie mogła pozbyć się uczucia, że ktoś ją obserwuje, być może nawet podąża za nią niezauważony, śledząc każdy jej krok. Kilka razy zatrzymała się niespodziewanie, dwa razy zmieniła kierunek marszu, a nawet zawróciła, zataczając podwójny okrąg. Uczucie jednak jej nie opuszczało, mimo że wśród mijanych ludzi nie dostrzegła nikogo, kto by się nią zainteresował.

Lirr wyminęła w końcu kupców, interesantów i najemników, zataczając przy okazji szeroki łuk i oglądając się na wszelki wypadek kilka razy za siebie. Wróciła na nabrzeże dopiero na drugim końcu portu, gdzie w pewnym odosobnieniu tuż przy wyjściu na redę cumowały statki nie do końca mile widziane w porcie. To tutaj za-

trzymywali się z reguły piraci, banici i wszystkie inne podejrzanе jednostki, które najłatwiej było w ten sposób kontrolować, a które zarazem miały w ten sposób możliwość szybkiego wyjścia na otwarte morze w razie nieprzewidzianych problemów na stałym lądzie.

Tłum rzedł stopniowo, aż w końcu zupełnie znikł. Lirr to jednak nie przeszkadzało. Sama poniekąd była kiedyś jednym z tych społecznych wyrzutków i gdyby nie upór Hego, zapewne nadal utrzymywałaby się z „bezkompromisowego spekulowania wartościowymi towarami w obrocie handlu morskiego” – jak czasami, po znacznej ilości rumu, jej przybrany ojciec nazywał swój fach.

– Perły, najpiękniejsze perły z głębin Złotego Morza! Białe jak twoje zęby w uśmiechu, różowe jak twoje lico, czarne jak twoje włosy, piękna, błękitne i zielone jak twoje spojrzenie – zaskoczył ją nagle melodyjny głos.

Obok wysłużonego dwumasztowego żagłowca stał wysoki, przystojny mężczyzna o smagłej cerze i śmiejących się, bursztynowych oczach. Jego błyszczące czarne włosy były zaplecione w warkocz, sięgający aż do łopatek.

– ... i złote jak twoja sakiewka? – odparła z kpiącym uśmiechem.

Sprzedawca natychmiast się rozpromienił, dostrzegając szansę.

– Moje perły świecą jak twoje oczy, a w dotyku są delikatne jak twoja skóra – wymruczał, zniżając zmysłowo głos. – Czy twoja szlachetna szyja, pani, nie zasługuje na sznur moich rzadkich, cudownych pereł? – Przechylił

głowę i sugestywnie pogładził się po opalonej skórze. Rozpięta biała koszula ukazywała gładką klatkę piersiową ozdobioną tatuażem dwugłowej syreny.

Lirr musiała przyznać sama przed sobą, że był przystojny. Nie tak jak Cael, rzecz jasna, ale w jego miodowozłotych oczach i w przewrotnym, fałszywym uśmiechu handlarza było coś magnetycznego. Być może przyciągało ją po prostu przecucie niebezpieczeństwa.

– Nie chcę twoich pereł. Szukam pewnego statku. – Uśmiechnęła się do niego szeroko, starając się nie dać omamić kłamliwemu spojrzeniu.

Nieznajomy zaczął bawić się okrągłymi perłami, które wyłożył na otwartej dłoni. Połyskiwały w popołudniowym słońcu bielą przełamaną przez złotą poświatę. Lirr przyglądała się przez chwilę, jak obraca je zwinnymi palcami, przesuwając na dłoni kolistym ruchem i miesza.

– Statku? Znajdziesz tu tylko smród, pijanych żeglarzy i łotrów – zadrwił. – Porozmawiaj lepiej ze mną, szacownym kupcem. Jutro odpływam, więc być może nawet sprzedam ci moje perły taniej. – Ściszył głos, jakby powierzał jej wielką tajemnicę.

Lirr westchnęła w duchu, zniechęcona. Nie mogła znieść, gdy ktoś traktował ją jak idiotkę.

– Nie chcę niczego kupić – odparła nieco ostrzej, niż zamierzała.

Handlarz spojrzał badawczo w jej oczy i uśmiechnął się szelmowsko.

– A ja nie chcę sprzedać. Rozstanę się z moimi drogocennymi perłami z ogromnym bólem serca – dodał,

głaszcząc się po delikatnej jedwabnej koszuli. – Na cóż mi jednak tak wyszukane klejnoty? Przystoją one bardziej twojej szlachetnej urodzie, pani.

Zanim się zorientowała, szybko chwycił jej dłoń i musnął ją delikatnie ustami. Tego było już za wiele. Lirr wzdrygnęła się i instynktownie napięła wszystkie mięśnie. Wydawało jej się, że słońce przesłonił przez chwilę jakiś ruchomy cień. Mewy podniosły się z masztu z krzykiem i, wściekle trzepocząc skrzydłami, przeniosły się na sąsiedni żaglowiec.

– Jak długo twój statek stoi w porcie? – zapytała, odsuwając się lekko od natarczywego handlarza.

– Trzyście dni. Jutro wychodzi w morze – mrucał jak kot, nie spuszczać jej z oka.

– Skąd tu przyłynąłeś?

– Prosto z Ilandry nad Złotym Morzem, oczywiście. – Wyciągnął przed nią dłoń pełną pereł.

– Szukam Zielonej Harpii – oznajmiła wprost, patrząc mu badawczo w oczy, szukając oznak wahania albo kłamstwa.

– Doprawdy? – Uśmiechnął się, zaciskając lekko usta. – Szybki statek. Wyjątkowy.

– Widziałeś ją? – Starła się ukryć swoje podekscytowanie.

– A czy ty widziałas już moje perły? – Był przebiegły jak każdy dobry handlarz w porcie Ysborg. Znów pokazał jej sugestywnie dłoń pełną opalizujących kulek.

– Dobrze, kupię jedną... – Poddała się. – No dobrze, kilka – dodała, widząc jak handlarz unosi brwi wyczekiwanie. – Ile za nie chcesz?

– Jak dla ciebie... – Błysnął białymi zębami jak wygłodniały drapieżnik, który właśnie usidlił swoją ofiarę. – Sprzedam pięć za cztery goldeny.

– Cztery goldeny? I to ma być dobra cena? – Nie mogła wprost uwierzyć w jego bezczelność.

– To najrzadszy gatunek pereł, moja piękna, szlachetna pani – wyjaśnił cierpliwie jak dziecku, kładąc przy tym na jej dłoni największą z pereł.

– Najrzadszy? – spytała z powątpiewaniem. Perła była niemal idealnie okrągła, o złotym połysku z ledwie dostrzegalną różaną poświatą. Wzięła ją ostrożnie w dwa palce i wystawiła pod światło. Przyjrzała się jej uważnie, zamykając jedno oko. – Ze Złotego Morza? – Upewniła się, nadal manipulując perłą. Kilka razy nacisnęła ją kciukiem i zbliżyła do ust.

Handlarz najpierw przyglądał się jej podejrzliwie, ale gdy zobaczył, że zamierza nadgryźć jego skarb, podskoczył jak oparzony.

– Ostrożnie, są bardzo delikatne! – krzyknął zabawnym, cienkim od paniki głosem.

Lirr schowała perły za siebie w zamkniętej dłoni i zmierzyła handlarza badawczym spojrzeniem.

– Delikatne? Masz mnie za idiotkę? – Wściekła się.

Handlarz uniósł brwi tak wysoko, że dosięgły linii błyszczących włosów.

– Przecież to pomalowane pestki lukuncji – krzyknęła mu prosto w twarz, potrząsając przy tym zamkniętymi w dłoni kulkami.

Tamten znieruchomiał na moment, po czym schował szybkim ruchem resztę fałszywych pereł do kie-

szeni i stanął w rozkroku, jakby szykował się do bójki. Lirr nie zdążyła w żaden sposób się przygotować, bo niemal natychmiast zza pleców oszusta wyłonił się wysoki, wytatuowany, jednooki dryblas, który musiał zapewne być jego osobistym siepaczem. Jednym zamachystym ruchem muskularnego ramienia odsunął handlarza z warkoczem za siebie.

– W czym problem? – spytał krótko, pochylając się, żeby spojrzeć Lirrian w oczy.

– Ta mała dziwka zniszczyła moje perły! – pisnął handlarz z dziecięcym grymasem w głosie.

Lirr poczuła, że brakuje jej powietrza.

– Dziwka? A gdzie się podziała „szlachetna pani”? – wrzasnęła, nie zważając na jednookiego tuż przed sobą. Warkoczyk najwyraźniej także nie potrafił utrzymać nerwów na wodzy, bo wyslizgnął się sprawnie zza towarzysza i złapał ją mocno za nadgarstek.

– Oddaj to! – nakazał, wbijając paznokcie w jej rękę. Lirr próbowała ją wyszarpnąć, bezskutecznie. W drugiej dłoni nadal zaciskała rzekome perły, które miała kupić.

– Żebyś mógł jeszcze kogoś oszukać? Ani myślę!

Handlarz rzucił jej nienawistne spojrzenie, podczas gdy jednooki bezradnie przyglądał się ich szarpaninie, zupełnie jakby nie mógł pojąć, co się właśnie rozgrywa przed jego oczami.

– Oddawaj! Już! – krzyczał coraz bardziej piskliwie Warkoczyk i coraz mocniej wbijał jej w żyły swoje ostre paznokcie.

Po chwili poczuła rozlewającą się falę ciepła i zanim jeszcze dotarł do niej ból, dostrzegła ze zdziwieniem

własną krew na portowym bruku, a potem paskudny uśmiech na twarzy oszusta. Niewiele myśląc, zamachnęła się drugą ręką i z całej siły rzuciła fałszywe perły jak najdalej do śmierdzącej portowej wody.

– Och... ojej... – Uśmiechnęła się przepraszająco. Warkoczyk patrzył przez chwilę w oszołomieniu na rozchodzące się na wodzie drobniutkie zmarszczki.

– Pożałujesz! – wycedził w końcu przez zęby i wykręcił jej boleśnie rękę.

Czubki palców Lirr zaczęły powoli drętwieć. Handlarz skinął w milczeniu na jednookiego, a ten szybko złapał ją za włosy i objął ramieniem w talii. Zaczęła się szaleńczo szarpać i wierzgać, ale ból w zranionej i wykręconej ręce uniemożliwiał jakąkolwiek walkę. Raptem coś poruszyło się gwałtownie nad jej głową, poczuła uderzenie wiatru, nagły chłodny powiew. Usłyszała dziki krzyk, świst, furkot, wszystko na raz, a po ułamku sekundy jęk dryblas, który z głuchym tąpnięciem upadł na zad, puszczając ją przy tym wolno.

– Co do... – pisnął handlarz z warkoczem, tracąc zupełnie koncentrację. Jednooki dryblas siedział zdezorientowany na bruku, a z paskudnie rozciętego łuku brwiowego tryskała krew, zalewając mu potokiem całą twarz.

– Krrr...!!! – wrzasnął triumfalnie kruk, rozkładając i składając skrzydła.

– Co to...? Co... jak...? – Warkoczyk zupełnie nie mógł się odnaleźć, a gdy ptaszysko przechyliło złośliwie głowę, łypiąc na niego błyszczącym okiem, całkiem go zatkało.

Lirr wykorzystała sytuację i z całym impetem wbiła kolano między rozszerzone nogi oszusta. Zamiast krzyku jęknął cicho, żałośnie, i łapiąc się za krocze osunął się majestatycznie na ziemię.

Gdy się odwróciła, kruka już nie było. Oszołomiony dryblas był chwilowo niemal zupełnie bezbronny, podeszła zatem do handlarza, który zwinął się na boku i bełkotał coś do siebie w nieznanym jej języku. Rozmasowała sobie delikatnie zakrwawiony nadgarstek i po krótkiej chwili wahania wyciągnęła resztę pereł z kieszeni oszusta.

– A teraz – zwróciła się do niego szeptem, choć w rzeczywistości drżała jeszcze z emocji – zeżresz te swoje drogocenne perły, jedną po drugiej – syknęła i wpakowała pierwszą między jego imponująco białe zęby. Niezdarnie próbował ją wypluć, ale zamknęła mu szybko ręką usta i nos, zmuszając do przełknięcia.

– Elirrianoi! – Podniesiony głos powstrzymał ją, właśnie gdy sięgała po drugą dorodną perłę. – Nie można nawet na chwilę spuścić cię z oka, żebyś nie wpakowała się w jakieś kłopoty!

– To nie tak, Ros, ja tylko... – Podniosła się z ziemi i otrzepała poszarpane ubranie.

– Natychmiast zostaw tego biednego człowieka w spokoju! – Rosmerta była tak roztrzęsiona, że zaczęła wymachiwać w jej kierunku koszem wypełnionym jakimiś słoiczkami i butelkami.

Dwa kroki za nią stał niski, otyły mężczyzna z długimi włosami i fantazyjnie zaplecionym wąsem, odziany w połyskliwą, spływającą aż do ziemi szatę w kolorze

burgunda. Po jego twarzy błakał się ni to uśmiech, ni to grymas obrzydzenia. Olmert, książęcy Wielki Celnik.

– To oszust! – wrzasnęła.

– A zatem zostaw tego biednego oszusta w spokoju!
– Rosmerta była nieugięta. Zmierzyła ją piorunującym wzrokiem.

Lirr nie miała innego wyboru, jak tylko odsunąć się od kwiczącego coś do siebie handlarza.

– Mam dowody... – wybąkała już mniej pewnie.

– Zostaw go albo przysięgam, że Maeve się o wszystkim dowie!

Na Rosmertę nie było rady. W takich chwilach nie zawahała się uciekać do szantażu i zwykle mówiła poważnie. Olmert zaniósł się cichym śmiechem, pochrzäkując przy tym raz po raz jak świnia. Lirr podeszła do nich posłusznie, ale na odchodne odwróciła się jeszcze do swoich ofiar.

– Pogadam sobie jeszcze z kapitanem portu. Oszustów i złodziei zwykle zakopuje aż po nos w piasku na płyciźnie za redą, tuż przed przypiływem – rzuciła z jadowitym uśmiechem.

– Dość tego, Lirrian! Wracamy natychmiast! – Ros szarpnęła ją mocno za ramię.

Warkoczyk pozbierał się i zdołał usiąść na ziemi.

– Dopadnę cię jeszcze, zobaczysz, pożałujesz... – warknął, wbijając w nią morderczy wzrok.

– Szukaj mnie na zamku, łgarzu. Znajdź mnie, jeśli starczy ci odwagi – odpyskowała natychmiast i już miała się wyrwać w jego stronę, ale przewidująca Ros przytrzymała ją mocno za rękaw, blokując jej ruchy.

– Diabelskie nasienie... – Splunął krwią jednooki, który też zaczynał już wracać do przytomności.

Olmert odchrząknął głośno i postanowił w końcu zareagować.

– Koniec, koniec, koniec... koniec, tak? – zaintonował łagodnym, melodyjnym głosem z zabawnym wyspiarskim akcentem. Jako Wielki Celnik był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w porcie, a nawet w całym Ysborgu. Rzadko mieszał się w sprawy piratów i oszustów, o ile nie szkodziły one interesom. Był przepukny i tolerował wiele, ale gdy ktoś nadepnął mu na odcisk, stawał się bardziej zajadły niż bagienna żmija.

– Cóрка Hego, tak? – zapytał uprzejmie, zatykając palce za szeroki, zdobiony kolorowymi szklanymi paciorkami pas. – Zdecydowanie widać tę pewnego rodzaju iskrę, tak, tak... – Ucieszył się, zaśmiał i chrząknął jak świnia. – Zdecydowanie. Pewien taki, jak by to można powiedzieć, błysk w oku, tak? – zwracał się do Rosmerty, ale nie spuszczał Lirrian z oka.

– To ma być ten twój przyjaciel, tak? – zapytała półgłosem ochmistrzynię, przedrzeźniając przy tym manierę Olmerta.

Rosmerta natychmiast zeszytywniała ze zdenerwowania.

– Lirrian, zachowuj się jak należy. – Zgromiła ją wzrokiem i szarpnęła mocno za rękaw.

– Wybacz... dziewczyna ma trudny charakter.

Olmert przewrócił oczami, które były niepokojąco podobne do błyszczących niebieskich paciorków wokół jego pasa.

– Wybaczone. Oszustwo w handlu w Ysborgu karane jest lochem, tak? – zwrócił się tym razem ni to do handlarzy, ni to do mew przyglądających się wszystkiemu z masztów cumującego obok statku.

– Nie jestem oszustem, to tylko... – zaczął jęczącym tonem Warkoczyk.

– Och, zamknij się! – Lirr nie wytrzymała, mimo że w odpowiedzi Rosmerta znów szarpnęła ją za tunikę.

– Koniec, koniec – poprosił dobrotliwie Olmert. Wydawał się co najmniej zażenowany całą tą sytuacją. – Doprawdy, czy muszę wzywać straż portową? – westchnął. – Myślę, że na was już pora, pogoda sprzyja wyjściu w morze – zwrócił się ze smutkiem do oszustów.

– Tak jest... – rzucił przez zęby Warkoczyk i zaczął zbierać z ziemi swojego zakrwawionego towarzysza.

Gdy zniknęli na pokładzie swojej łajby, Olmert otworzył pulchne ramiona i uściskał serdecznie Lirr, całując ją przy tym z głośnym cmoknięciem w czoło. Wzdrygnęła się na ten dźwięk, ale musiała przed sobą przyznać, że mężczyzna być może nie jest tak bezużyteczny, za jakiego go miała. Było w nim coś wzbudzającego zaufanie.

– A teraz, moja droga, powiedz mi, skąd u ciebie tyle energii? – zapytał dobrotliwie, gładząc przy tym swoje absurdalne wąsy. – Gdyby nie twój status, poprosiłbym Rossie, żeby przysłała cię do mojego kantoru, przydałaby mi się taka bystra głowa – zaśmiał się, trzęsąc brzuchem i chrząkając coraz głośniej.

– Raczej uparta. – Rosmerta wyraźnie nadal była na nią wściekła. Lirr mogła mieć tylko nadzieję, że nie opowie o wszystkim Maeve.

– Upór bywa cnotą, zbyt często poddajemy się przed osiągnięciem celu – perorował melodyjnie celnik. – Nie rozumiem tylko, czemu zabrnęłaś do tej części portu, dziewczyno?

Lirr spuściła wzrok. Nie było już sensu kłamać. Celnik i tak zapewne wiedział więcej, niż to pokazywał po sobie.

– Szukałam Zielonej Harpii... – wyznała skruszona – a raczej wieści o niej...

– Hego, tak? Tak, tak... – Uśmiechnął się znacznie mniej wesoło niż wcześniej. – Dawno nie zawijał do Ysborga... Mówi się, że... uciął wpół słowa i rozejrzał się wokół swoimi paciorkowatymi oczami.

– Co? Co „się mówi”? – ponagliła go Lirr, tknięta nagłym niepokojem. Coś było nie tak, coś wisiało w powietrzu. Poczowała mrowienie na karku. Olmert podrapał się w pulchny podwójny podbródek i wskazał jedną z wąskich uliczek, prowadzących do kupieckich kantorów.

– Chodźmy stąd, napijemy się miętowej herbaty z miodem, porozmawiamy. – Zabrzmiało to złowieszczo. Lirr popatrzyła pytająco na Rosmertę, ale tamta odwróciła niechętnie głowę, jakby unikała jej wzroku.

Kantor Olmerta, mimo że z zewnątrz niczym szczególnym się nie wyróżniał, w środku zadziwiał bogatym, wygodnym wystrojem z domieszką wyspiarskiej egzotyki. Ściany pokrywały misternie wyszywane draperie, podłogę wzorzyste, miękkie dywany i wygodne aksa-

mitne poduszki. Powietrze przesycone było zapachem palonego karmelu, cynamonu i mięty. Olmert sam przygotował i przyniósł im herbatę. W milczeniu nalał swoim gościom gorącego naparu do niskich szklanych czarek i podsunął im szklaną tacę z karmelizowanymi orzechami oraz miseczki z trzema rodzajami miodu.

– Hego... – zaczął, dopiero gdy pociągnął parę łyków swojej przesłodzonej herbaty – podobno wyprawił się na zachód, najpierw do Ibelinu, a potem... jeszcze dalej... – Lirr poruszyła się nerwowo na swojej poduszce i rzuciła krótkie spojrzenie Rosmercie, szukając w niej oparcia. Ochmistrzyni słuchała słów Olmerta w skupieniu, popijając ze swojej czaraki z zamkniętymi oczami.

– Mówią, że miał zamiar dopłynąć do Wyspy Westchnień – ciągnął celnik – ale znowuż inni zarzekają się, że widzieli Zieloną Harpię w drodze do Kortonis albo w pobliżu Milczącego Wybrzeża.

Lirr poczuła, jak strach coraz mocniej zaciska jej gardło. Coraz bardziej obawiała się tego, co za chwilę usłyszy.

– Nie rozumiem, po co miałby wybierać się do Kortonis... – Nie wytrzymała w końcu i przerwała Olmertowi. – Zwłaszcza tuż przez sezonem burz... To pustkowienie, statki handlowe rzadko wybierają tamten port, nie może tam liczyć na dobry... utarg.

Olmert podniósł twarz znad parującej miętą czaraki i zmierzył ją długim, badawczym spojrzeniem. Gdy zaczął znów mówić, końcówki jego zaplecionych wąsów drżały lekko.

– Moja droga, ludzie morza rzadko mówią prawdę, tak? – Położył uspokajająco ciepłą, pulchną dłoń na jej dłoni. – Być może Hego sam rozsiewa kłamstwa na swój temat, być może ma po prostu powody, żeby się ukrywać.

Olmert mógł mieć rację. Hego robił już w życiu dziwniejsze rzeczy i nigdy nie przestawał jej zaskakiwać. Chociaż tym razem wszystko wskazywało na to, że po prostu przepadł. Zniknął bez śladu. „A być może po prostu mnie porzucił...” – szepnął jej w głowie jakiś złośliwy głos. Skrzywiła się boleśnie i odruchowo zacisnęła dłoń na swoim talizmanie. Rosmerta wydawała się czytać w jej myślach.

– Lirrian... Hego na pewno w końcu wróci do Ysborga, wszystko w swoim czasie... – Poglądziła ją delikatnie po plecach. Lirr pomyślała, że jak jeszcze dłużej będą ją tak pocieszać, w końcu coś w niej pęknie i wybuchnie płaczem. Wzięła głęboki oddech, odsuwając od siebie wszystkie te zdradliwie cklive uczucia. Nie zamierzała robić z siebie widowiska. Przełknęła supeł strachu, zaciskający dotąd jej gardło.

Olmert przegryzł kilka karmelizowanych orzechów i uśmiechnął się wesoło pod swoim zaplatanym wąsem.

– Skąd wiedziałaś, że perły są fałszywe? – zapytał melodyjnie.

Lirr doszła do wniosku, że nie ma sensu kłamać.

– Sama kiedyś robiłam podobne – odparła czując, że złe emocje zaczynają powoli opadać.

Celnik wybuchł głośnym świńskim śmiechem i chrząknął kilka razy wesoło.

– Myślę, że ty i ja szybko się zaprzyjaźnimy, tak?

Trzewiki i długi

Naprzeciwko łóżka, na oparciu krzesła, rozłożono długą zieloną suknię z ciężkiego brokatu. Kolor był jeszcze akceptowalny – jak stwierdziła Lirr po dłuższym rozmyślaniu – najgorszy był jednak materiał: sztywny i gryzący, drażniący jej opaloną skórę na szyi i wokół dekoltu, na ramionach i plecach. Ciepłych uczuć nie budziły w niej też ustawione równiutko na tym samym krześle zielone trzewiki z małymi fikuśnymi kokardkami w kolorze wina i z przerażającym obcasem, który był oczywiście ostatnim krzykiem mody w mieście.

Siedziała samotnie na łóżku w swojej komnacie, w północno-wschodniej wieży, która tymczasowo – jak zawsze podkreślała Maeve – była jej domem w Ysborgu. Komnata była prosta, trochę zbyt wilgotna i raczej surowo urządzone, ale wszystko rekompensował rozległy widok z okna na redę portu i rozlane po horyzont morze. Nad nią znajdowały się już tylko pomieszczenia u samego szczytu wieży, urządzone podobnie, ale

zamykane ciężkimi, grubymi na kilkanaście centymetrów drzwiami, ryglowanymi od zewnątrz, co nie pozostawiało złudzeń w kwestii ich przeznaczenia. Pomyślała gorzko, że to nie zbieg okoliczności, że w całym ogromnym Ysborgu wyznaczono jej miejsce właśnie w wieży więziennej.

Nikt do niej nie przyszedł, nikt nie krzyczał, nie zmuszał, żeby ubrała się tak, jak zażyczyła sobie Maeve, ale przesłanie – jak zwykle – było jasne: albo się dostosuje, albo nie ma wstępu na ucztę. Lirr westchnęła więc i zaczęła niechętnie rozbierać się ze swojego zwykłego myśliwskiego stroju. Musiała iść na kolację, bo chciała zobaczyć Viorela, poza tym musiała dać oparcie Caelowi. Obiecała mu to.

Rozsznurowała wysokie buty i z impetem rzuciła je w kąt, pozbyła się ciemnobrązowej znoszonej kurtki, która kiedyś należała do Caela, skórzanych myśliwskich spodni i dopasowanej tuniki, w której mogła swobodnie wspinać się po skałach i wchodzić na drzewa podczas ich wspólnych wypraw.

Rękami przeczesала włosy, które nawet po godzinie walki z grzebieniem robiły wrażenie nieulożonych i z jękiem rozpostarła przed sobą zielone okropieństwo. Odwlekając uparcie chwilę brokatowej męki, z suknią w ręku podeszła do otwartego okna. Nabrała w płuca pachnącego algami morskiego powietrza i spojrzała w dal, starając się rozpoznać typy okrętów stojących w porcie.

Gdy żyła na Zielonej Harpii, nigdy nikt nie oczekiwał od niej podobnych idiotyzmów. Westchnęła

i odruchowo dotknęła swojego wisiorka z akwamarynu, który bardziej niż ta komnata, bardziej niż Ysborg, bardziej niż Zielona Harpia czy cokolwiek innego na świecie był jej bezpiecznym miejscem. Była to jedyna rzecz, z którą ją znaleziono, jedyna, która dawała jej pewność, że zanim Hego wyłowił ją z morza, miała jakieś życie i być może nawet kogoś bliskiego, kogo obchodziła na tyle, że dał jej ten amulet, ten talizman, ten znak.

Musiała w to wierzyć, bo nie pamiętała niczego sprzed tej jednej chwili, gdy otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą ogorzałą słońcem, brodatą twarz swojego przybranego ojca. Miała wtedy jakieś osiem, może dziewięć lat, piraci z Zielonej Harpii wyłowili ją w czasie sztormu setki mil od brzegu. Kolejne pięć lat spędziła z nimi na morzu, najpierw jako przymusowy członek załogi, potem jako członek rodziny. Ostatnie cztery lata mieszkała z kolei w Ysborgu. Trafiła tu, gdy Hego niespodziewanie uznał, zresztą wbrew jej głośnym protestom, że piracka łajba to nie miejsce dla dorastającej panienki. Jego handlowe przymierze z Maeve gwarantowało Lirr swego rodzaju immunitet w mieście. Czasem czuła się tu jednak bardziej jak zakładnik.

Z natłoku wspomnień wyrwał ją nagle ponury gardłowy dźwięk, pojedynczy, głośny i co dziwniejsze dochodzący niemal tuż spod kamiennego parapetu okna, na którym się opierała. Wychyliła się mocniej i spojrzała w dół, ku swojemu zdumieniu rozpoznając pechowego kruka z porannego polowania. Powolnymi, ciężkimi ruchami kobaltowoczarnych skrzydeł

wznosił się coraz wyżej, aż w końcu wylądował na jej parapecie, przynosząc do wnętrza komnaty nagły powiew zimnego jak lód powietrza. Lirr w absolutnym szoku otworzyła usta.

– Jak mnie tu znalazłeś? – wrzasnęła ze złością w jego kierunku. Zamiast odpowiedzi kruk przechylił tylko głowę i spojrzał na nią z ukosa czarnym jak obydian okiem.

– Wynocha! – Lirr poczuła narastającą wściekłość. Skoro jedno pióro miało według Rosmerty przynosić pecha, to cały kruk z pewnością nie mógł być szczęśliwym omenem. I do tego widziany trzykrotnie tego samego dnia! Ptak przechylił głowę w przeciwną stronę i dalej intensywnie się w nią wpatrywał.

– Wynos się! Sio! – powtórzyła z coraz większym rozdrażnieniem i odruchowo zakryła się suknią, czując kolejny zimny powiew z otwartego okna. Kruk stał nadal na swoim miejscu, rozłożył tylko na moment skrzydła i przeciągnął się leniwie.

– Nie myśl sobie, że skoro uratowałeś jelenia, to masz u mnie dług wdzięczności, ty... Ty pierzasta bestio! – Lirr postanowiła nie dać się zastraszyć i jedną ręką przytrzymując suknię na piersiach, zrobiła kilka miękkich, ostrożnych kroków do tyłu, jak podczas polowania, po czym, nie spuszczając wzroku z ptaszyska, drugą ręką chwyciła leżący wciąż na krześle atlasowy trzewik. Przyklęła w skupieniu.

Kruk nie wydawał się zaalarmowany, wyciągnął tylko szyję do przodu i wydał z siebie kolejny skrzyjący dźwięk, by po chwili znów wbić swoje bezczel-

ne obsydianowe koraliki w zielone oczy Lirrian. Tego było już za wiele, dziewczyna zamachnęła się i całą wściekłość i rozdrażnienie tego dnia włożyła w rzut trzewikiem w stronę otwartego okna.

But zawirował wstążeczką i obcasem wokół własnej osi i z głuchym dźwiękiem ugodził kruka tuż powyżej ogona, ześlizgnął się i wyleciał przez okno. Ptak zaskrzeczał złowieszczo i po ułamku sekundy wzbił się w powietrze, znikając z jej pola widzenia.

Lirr odetchnęła dopiero wtedy, gdy upewniła się, że nie może dostrzec kruka, nawet wychylając się na zewnątrz dalej, niż pozwalał na to zdrowy rozsądek. Zamknęła szczelnie okiennice i osunęła się na podłogę, odczuwając jednocześnie ulgę i wściekłość. „Maeve nie będzie zadowolona” – pomyślała z przekorną satysfakcją, patrząc na samotny lewy trzewik, czekający na nią na krześle. Nie było innej rady, czas nagiął, założyła więc szybko suknię, zastanawiając się tylko przelotnie, czy inni goście zauważą, że pod nią ma znoszone myśliwskie buty.

Wygodne obuwie okazało się ostatecznie najlepszym wyborem, jakiego mogła dokonać, bo gdy tylko zaczęła schodzić w dół po krętych kamiennych schodach swojej więziennej wieży, rozległ się dźwięk zegara z zamkowego dziedzińca, oznajmiając czas kolacji. Maeve nie tolerowała spóźnień, więc Lirr przyspieszyła kroku, unosząc suknię do góry, a po chwili zbiegała już, przeskakując po kilka stopni naraz.

Schody kończyły się kilka metrów poniżej szczytu wewnętrznych murów, w ciemnym przedsionku,

który zawsze wzbudzał w niej dziwny niepokój. Może to wilgoć gromadząca się tu bez względu na pogodę, może to nieprzenikniona ciemność, która zalewała dół wieży jak czarny, ciężki dym, a może dziwne echa odbijające się od nierównych kamieni. W każdym razie zawsze gdy pokonywała przestrzeń przedsionka, czuła się nieswojo, tak jakby ktoś z ukrycia się jej przyglądał, nie mając przy tym dobrych zamiarów. Od swoich pierwszych dni w Ysborgu nienawidziła tego miejsca i bała się, że gdy zatrzyma się na dłużej w przedsionku, to te dziwne szmery, odgłosy i echa zmieniają się w szepoty, głosy i krzyki.

Z ulgą wyszła na zewnątrz, szybkimi haustami łapczywie wdychając wieczorną bryzę, jak nurek po wypłynięciu na powierzchnię wody. Rozejrzała się dokoła. Nadchodził zmierzch, lecz na zamku widać było większe niż zwykle o tej porze poruszenie. Na murach roilo się od przechadzających się leniwie strażników, co w spokojnym Ysborgu było raczej rzadkim widokiem. Po dziedzińcu, który łączył jej wieżę z zamkową kuchnią z jednej, a bramą wiodącą do stajni i na podzamcze z drugiej strony, kręciła się służba. Jedni nosili kosze i skrzynki wypełnione owocami, warzywami, butelkami piwa, wina i oliwy, inni naręcza kwiatów, srebrzące się w niknącym świetle słońca ryby, ociekające jeszcze wodą małże i inne niezidentyfikowane pakunki.

Przypominało to gromadzenie zapasów przed jakiś wystawnym balem lub raczej serią wystawnych bali, co wzbudziło w niej wątpliwość, czy powodem takiego zamieszania mógł być jedynie przyjazd Viorela. Bądź

co bądź to tylko medyk. Nawet jeżeli jego umiejętności były zupełnie wyjątkowe, nie wydawał się dostojnym gościem. Maeve przywiązywała ogromne znaczenie do pochodzenia, a medykami nie zostawali w końcu członkowie wysokich rodów.

Lirr zmarszczyła nos – właściwie nigdy dotąd nie zastanawiała się, kim dokładnie byli medycy. Nigdy też żadnego nie poznała, w każdym razie nic o tym nie wiedziała... Postanowiła, że zapyta o to Hego przy najbliższej sposobności. Jak zostaje się medykiem i dlaczego on sam splota na samo ich wspomnienie.

Poprawiła włosy i wygładziła nieco nerwowo fałdy brokatowej sukni. Niezależnie od wszystkiego chciała, żeby Cael docenił jej wygląd, nawet jeżeli przy stole księżnej nikt nie będzie zwracał na nią tego wieczoru szczególnej uwagi. Zresztą podczas wystawnych kolacji zainteresowanie księżnej koncentrowało się na Lirr jedynie w przypadkach, gdy swoim zachowaniem nieopatrnie zdołała ściągnąć na siebie jej wściekłość.

Z jej doświadczenia w tej materii wynikało również, że niezbyt rozsądne było spóźnianie się na kolację. Wzięła zatem głęboki, uspokajający oddech i bardziej dystyngowanym niż na schodach krokiem przecięła po przekątnej wewnętrzny dziedziniec, kierując się w stronę kuchni. Przechodząc tamtędy, można było dostać się do małej sali jadalnej, używanej przez Maeve, gdy liczba biesiadników nie przekraczała dwudziestu osób.

Lirr starała się zachować spokój, ale mimo to co kilka kroków podskakiwała, żeby przyspieszyć trochę tempo. Tuż przy drzwiach dała jeszcze długiego susa

ponad śmierzącą rybami kałużą, co nieszczęśliwie ustawiło ją na kursie kolizyjnym z okazałym brzuchem Arsena, niezdarnie przepychającego się akurat przez próg ze stosem koszy po małżach.

Wylądowała z nieprzyjemnym plaskiem tuż pomiędzy skrajem cuchnącego błota a drzwiami kuchni, a impet uderzenia sprawił, że poślizgnęła się na rybich wnętrznościach i uderzyła prosto w rumianego mężczyznę. Arsen jęknął głucho, wypuszczając z rąk swój ładunek, zachwiał się na rybim szlamie, po czym zarył ciężko zadem w sam środek kałuży.

– Lirrian! – warknął, groźnie intonując drugą sylabę. Jego uśmiechnięta zazwyczaj, okrągła twarz zaczęła przybierać niebezpiecznie purpurowy odcień. – Ty... – zasapał się i wymamrotał coś niezrozumiale pod nosem. – Czy ty naprawdę nie potrafisz spokojnie chodzić? – Zaczął mozolnie zbierać utyłane błotem kosze z ziemi.

Widząc, jak ogromny brzuch obija mu się o kolana, Lirr nie była w stanie powstrzymać parsknięcia. Dostawca małży spojrzał nad nią spode łba swoim zdrowym okiem.

– W zasadzie dobrze, że cię widzę, nadal czekam na moją wygraną, nie myśl, że tym razem odpuszczę ci długi – zapowiedział groźnie.

– Długi? – Lirr zrobiła niewinną minę. – Już jutro się odegram. – Szerokim uśmiechem skwitowała obietnicę. Musiała tylko pamiętać o podwędzeniu przedtem z kuchni butelki czegoś mocniejszego, żeby Arsen nie zauważył, jak podmienia kości do gry na swój własny,

szczęśliwy zestaw. Przypatrując się jego niezgrabnej krzątaninie, pomyślała o czymś jeszcze.

– Pomogę ci – zaproponowała uprzejmie, schylając się, żeby podnieść jeden z koszy. Dostawca małży spojrział na nią podejrzliwie, ale nic nie powiedział, pochrząkując wciąż do siebie jak poirytowany wieprzek. Gdy sięgała po kolejny kosz, upewniła się, że na nią akurat nie patrzy, pisnęła cienko, dziewczynisko, udała, że się chwieje na śliskim podłożu, po czym osunęła się dramatycznie, przewracając podczas lądowania Arsena. W szamotaninie wprawnym szarpnięciem pozbyła go sakiewki, wypchanej zapłatą za świeże małże.

– Och, moja suknia! – dodała płaczliwym tonem, wstając. Zrobiła przy tym smutny dzióbek, chociaż w rzeczywistości z trudem powstrzymywała śmiech. Jeżeli przysłoby do spłacania długów, zamierzała to zrobić za pomocą sakiewki Arsena.

Tłuscioch przyjrzał się krytycznie śmierzącej, nie-
możliwej do przeoczenia plamie u dołu brokatowej sukni i uśmiechnął się głupkowato.

– Stara wiedźma da ci za to do wiwatu. – Zauważył z cichym gwizdnięciem.

Lirr zmarszczyła czoło, wygładzając fałdy sukni, co rzecz jasna niewiele dało. Uniosła lekko jej rąbek, rozważając, czy bardziej szokujący był widok malowniczo rozbryzganego rybiego szlamu, czy zabłoconych nim myśliwskich butów.

– Lepiej już leć, bo jak znów cię za karę zamkną, to nie odzyskam w porę swojej zapłaty – dodał po chwili łagodniejszym tonem i mrugnął do niej z rozbawie-

niem swoim gorszym kaprawym okiem, choć na policzkach nadal miał bordowe rumieńce.

Uśmiechnęła się szeroko na pożegnanie i ruszyła w głąb kuchni, podrzucając wesoło obiecująco ciężką sakiewkę.

Zrobiła ostrożny krok naprzód, przekroczyła próg i znalazła się naprzeciwko długiego stołu, ustawionego na zdobionym, trzystopniowym podeście. Księżna zajmowała centralne miejsce na rzeźbionym, podwyższonym krześle, a po jej prawej stronie siedział Cael z wyrazem zwykłego ostatnimi czasy zamyślenia na twarzy.

Dalsze miejsca zajmowali znamienici członkowie wysokich rodów z Ysborga, dopuszczeni do najwyższego kręgu zażyłości z księżną – dystyngowany hrabia Egerwed z żoną i córką Anneli, jedną z najpiękniejszych dziewcząt w mieście; Kuoni Ronne, który podobno był arystokratą, choć majątek zyskał w mało elegancki sposób, ze swoją hmm... towarzyszką; wiecznie szukającą męża, leciwa już Lady Sadran; mało mówny Wielki Łowczy Beltram z żoną Kiran i synem Deenem, przyjacielem Caela.

Naprzeciwko Maeve, a plecami do Lirr, siedział natomiast człowiek, który musiał być sławnym Viorelem z Południa.

Ostatnie, trzynaste krzesło, jej krzesło, nie tylko wydawało się wyjątkowo puste, ale ku jej przerażeniu stało nie na końcu stołu, a naprzeciwko Caela, tuż obok medyka. Na widok dziewczyny Maeve na moment utkwiała w niej ostre jak sztylet spojrzenie swoich ciemnoniebieskich oczu i nerwowo odrzuciła do tyłu dłu-

gie, idealnie proste blond włosy. Jej lodowate spojrzenie przemknęło bystro po plamie błota i Lirr mogłaby przysiąc, że na ułamek sekundy księżna zmarszczyła nos, jakby poczuła odór rybiego szlamu. Dziewczyna zaśmiała się w duchu. Maeve najwyraźniej nie zamierzała robić afery przy cudzoziemcu. Na jej twarz zaraz powróciła ta wyjątkowa słodycz, jaka towarzyszyła jej zawsze przy gościach, a morderczy grymas przeistoczył się w rozbrajający uśmiech.

– Ach... a oto i nasza Elirrianoi – zwróciła się do medyka z udawaną dumą.

Lirr drgnęła, mając nadzieję, że ujdzie to za uprzejme dygnięcie, i bez słowa przywitała zgromadzonych wymuszonym uśmiechem. Caelowi rzuciła za to szybkie, pytające spojrzenie. Księżę wydawał się wciąż pogrążony we własnych myślach, ale musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo w odpowiedzi uśmiechnął się nieznacznie, wskazując jej przy tym dyskretnie puste krzesło przed sobą. Lirr podeszła powoli do stołu, rozważając w duchu, czy bardziej cieszy ją, że przez cały wieczór będzie siedziała naprzeciwko Caela, czy przeraża niespodziewane sąsiedztwo Viorela i brzydki fałszywa życzliwość Maeve.

Cudzoziemiec i kłątwa

Zanim zdołała podjąć decyzję, ze swojego miejsca płynnym ruchem wstał cudzoziemski gość i szarmancko odsunął dla niej krzesło, pochylając z szacunkiem głowę. Gdy podniósł wzrok, Lirr przyjrzała się mu z zainteresowaniem. Musiał mieć ponad czterdzieści lat, ale jego oliwkowa skóra była wyjątkowo gładka. Miał przenikliwy wzrok, ciemnobrązowe oczy, nosił przyszyżoną w wymyślny sposób brodę i krótko obcięte, ciemne, lśniące włosy. Jego strój był bardzo prosty, zupełnie nie przypominał ozdobnych kaftanów, jakie nosili zwykle dostojnicy z Południa: zwykła czarna tunika i spodnie. Jedyłą ozdobą był długi, ciężki naszyjnik, na którym zwisał ozdobny medalion w kształcie skoropiona.

– Witaj! Viorel, medyk. – Ponownie skłonił głowę w nieco teatralny sposób i lewą, otwartą dłońią dotknął prawego ramienia w geście powitania.

Odwzajemniła uprzejmość i dotknęła dłonią czoła.

– Witaj, Arhanna! Szczęśliwy dzień – zwróciła się do niego w jego języku. – Jestem Lirrian.

Viorel uniósł w zdziwieniu brwi i poczekał, aż dziewczyna usiądzie.

– Znasz nasze obyczaje, pani. Jestem zaszczycony.

– Elirrianoi dużo podróżowała ze swoim... opiekunem, zanim u nas zagościła – wtrąciła się Maeve. Lirr z rozbawieniem zauważyła, że księżna skrzywiła się mimowolnie przy słowach „opiekun” i „zagościła”.

– Doprawdy? – Viorel nadal wpatrywał się w Lirr. – A zatem skąd pochodzisz, pani?

– Z morza. – Uśmiechnęła się i podniosła nieco nerwowo puchar do ust. Nigdy nie wiedziała, jak odpowiadać na takie pytania. Między innymi dlatego nie lubiła obcych. Nienawidziła tych wszystkich ciekawskich spojrzeń i ironicznych szeptów za swoimi plecami, złośliwych plotek na temat swojego pochodzenia, niestworzonych historii o pirackim życiu, domysłów co do jej poprzedniego wcielenia. Nienawidziła tych wszystkich kłamstw głównie dlatego, że sama nie знаła prawdy o sobie, nie mogła więc im zaprzeczać.

Viorel lekko zmienił pozycję i nadal patrząc na nią z ukosa obserwował jednocześnie kątem oka przeciwną stronę stołu. „Uparty” – pomyślała z wściekłością. Medyk ewidentnie nie uznał rozmowy za zakończoną. Musiał się domyślać, że w jej przeszłości jest coś wyjątkowego.

– Lirr jest nimfą wodną, a może nawet syreną. – Milczenie przerwał swobodnym tonem Cael. – Pew-

nego dnia podczas sztormu wyłowili ją z morza... rybacy. – Uśmiechnął się w swój najbardziej bezczelny sposób.

Z końca stołu usłyszała tylko stłumiony rechot Deena, zamaskowany po chwili kilkakrotnym kaszleniem. Bez wątpienia nazwanie Hego rybakiem musiało go tak rozbawić. A może porównanie jej samej do nimfy?

– Piraci – poprawiła Lirr księcia z zuchwałym uśmiechem, odrzucając do tyłu posplatane włosy.

Pomyślała, że zapewne słono zapłaci za rozwścieczanie Maeve w obecności tak znamienitego gościa, ale skoro miała wyrobić sobie o nim zdanie, musiała go jakoś sprowokować, nie mówiąc o tym, że wyprowadzanie księżnej z równowagi należało do jej ulubionych rozrywek. Deen znów parsknął wesoło, pociągając za sobą cały koncert chrząknięć i salw śmiechu. Napięcie opadło, goście zabrali się do jedzenia.

Lirr z niewinną miną poczęstowała się pieczoną rybą z półmiska, który podał jej Cael.

– Niebywałe – skomentował w końcu chłodno Viorel, uśmiechając się przy tym uprzejmie do Caela i księżnej. – Życie ocalone w tak wyjątkowy sposób musi mieć szczególne przeznaczenie.

Tym razem Lirr zawahała się przez chwilę, zastanawiając się, ile usłyszał już na jej temat ten niepokojący człowiek, odkąd postawił stopę w Ysborgu.

– Co masz, panie, na myśli? – zapytała w końcu, bawiąc się odświętnymi, srebrnymi sztućcami. Przelotnie rozważyła, ile mogłaby dostać za nie w porcie.

Oczywiście nie mogła ich zabrać, bo Maeve obarczyłaby winą za kradzież Rosmertę, a do Rosmerty Lirr miała zawsze dziwną słabość.

– Morze rzadko wybacza. – Medyk zmrużył oczy i przesunął wskazującym palcem po cienkiej linii swojej wystrzyżonej brody. Dopiero teraz zauważyła, że paznokcie pokryte miał płynnym złotem. Niespodziewany blask skutecznie przykuł jej uwagę.

– Mówisz, jakby morze było istotą... – zauważyła z powątpiewaniem.

– Wszystko wokół ma swoją duszę. – Uśmiechnął się, po czym, nachylając się w jej stronę, dodał znacznie ciszej: – Wszystko co żyje, w każdym razie. A źródłem egzystencji, jak mówią księgi, jest ocean. Każdy ocalony od śmierci dzień zwiększa zatem twój dług.

Lirr poczuła, jak skóra cierpnie jej od jego bliskości. Ogarnął ją nieoczekiwany niepokój, jak tuż przed burzą. Coś w tym człowieku nie dawało jej spokoju, a jednocześnie nie mogła go zignorować.

– Mój dług? – zapytała szeptem, sama nie wiedząc, dlaczego.

– *Te ora mo te ora* – odparł, przyglądając się jej jeszcze bardziej intensywnie. Wydawało jej się, że czarne źrenice niemal całkiem pochłonęły jego ciemnobrązowe oczy.

– Życie za życie... – przetłumaczyła odruchowo. Kątem oka dostrzegła, jak Cael przerywa uprzejmą rozmowę z hrabią Egerwed i Annelli, i skupia swoją uwagę na niej. Maeve poruszyła się niecierpliwie na swoim miejscu, wyraźnie znudzona tyradą na temat

połowu pereł i morskich szmaragdów, jaką raczył ją właśnie Kuoni Ronne.

– Doskonale! – Ucieszył się medyk i dotknął czoła złotymi palcami w geście szacunku i podziękowania. – Jedyny dług, którego spłaty nikomu nie uda się uniknąć.

– Nikomu? A czy magowie nie są nieśmiertelni? – zapytała trochę na przekór, zdecydowanie jednak zbyt głośno, na tyle głośno, żeby skutecznie skupić na sobie uwagę księżnej.

Tamta zacisnęła usta w sposób, jaki nigdy nie wróżył nic dobrego. Viorel zdawał się tego nie zauważać, uśmiechnął się i przymknął oczy, szukając odpowiedzi.

– Tylko w pewnym sensie... Ich również można... unicestwić – wyjaśnił z pewnym wahaniem. – Jak wiadomo zresztą, zostało ich już niewiele. Prawdziwa moc pochodzi jednak od bogów, nie od ludzi, Elirrianoi. Bramą do niej jest zawsze śmierć.

– Doprawdy, panie, mówisz równie niezrozumiale jak kapłan. – Maeve oparła się o stół otwartymi dłońmi, unosząc się lekko ze swojego krzesła. Jej pierś falowała przyspieszonym oddechem. Była wściekła, choć jej swobodny ton tego nie zdradzał. Cael również zwrócił się w ich kierunku, wbijając w Viorela badawcze spojrzenie.

Medyk uśmiechnął się do siebie i pogładził nieśpiesznie brodę. W jego ciemnych oczach igrały złote iskierki, chociaż może to tylko odbłask świec i jego zdobionych paznokci.

– Albo mag... – dodał półgłosem Cael, wbijając w niego nieufne spojrzenie.

– Mag, kapłan... to tylko słowa. – Viorel pochylił lekko czoło i zaplótł jedną dłoń na swym złotym skorpionie.

– Podobnie jak „medyk”... – rzuciła Lirr i natychmiast ugryzła się w język. Na sali zrobiło się cicho. Maeve zmrużyła oczy i przeszła ją lodowatym wzrokiem, szybko jednak się opanowała i obdarzyła Viorela uprzejmym uśmiechem.

– Musisz wybaczyć Elirrianoi, mój panie, jej poprzedni opiekun zaniedbał nauki właściwych manier – wyjaśniła, nie kryjąc zażenowania.

Lirrian ogarnęła raptowna wściekłość. Uczucie było tak nagłe i przejmujące, że przez chwilę prawie nie mogła oddychać. Poruszyła się niespokojnie na krześle, ale gdy spojrzała na Caela, zrozumiała, że nie znajdzie u niego żadnego poparcia. Patrzył nieruchomo w jakiś punkt pomiędzy nią a medykiem. Zatopiony we własnych myślach, popijał wino. „Łajno wieloryba!” – przeklęła w duchu. – „Szczurza jucha...!”

– Cóż jeśli nie ciekawość świata czyni nas mądrzejszymi – odparł w końcu Viorel i podniósł do góry swój kielich. – Wypijmy zatem za wiedzę.

Maeve przez dłuższą chwilę patrzyła mu badawczo w oczy.

– Za wiedzę! – powtórzyła w końcu powoli, a za nią pozostali.

Lirr wyjątkowo zainteresowała się błękitnym pstrągiem na swoim talerzu. Pozwoliła swoim niesfornym włosom opaść wokół twarzy, tak, żeby zasłonić emocje, jakie na niej zakwitły.

Medyk również skupił się na jedzeniu i podjął zwyczajną uprzejmą rozmowę z Maeve. Chwalił architekturę zamku, piękno wybrzeża i potęgę portu, komplementował potrawy przygotowane przez Ro-smertę, a nawet wypytywał Caela o jego myśliwskie upodobania, świetnie udając zainteresowanie. Lirr obserwowała go dyskretnie kątem oka. Puste frazesy, nieszczerze zachwyty i gładkie kłamstewka przychodziły mu z łatwością, jakiej można było nabyć jedynie na królewskim dworze. Inni goście, ośmieleni jego zachowaniem, zaczęli z kolei wypytywać go o wieści z Daxos, spragnieni plotek z odległego An-Nar. Reszta wieczoru upłynęła zatem zupełnie normalnie, podobnie jak wiele innych tego typu spotkań. Lirr swoim zwyczajem w milczeniu obserwowała gości, ale żadna konkretna rozmowa nie potrafiła przykuć jej uwagi, bo nadal wbrew sobie zastanawiała się gorączkowo nad dziwnymi słowami Viorela.

Nawet kiedy Anelli, potrząsając jasnymi jak zboże puklami, upiętymi na czubku głowy idiotyczną czerwoną kokardą, wciągnęła Caela do rozmowy o wilkach ostatnio mordujących zwierzęta w dolinie pod Ysborgiem, Lirr pozostała niewzruszona. Książę, również zamyślony, odpowiadał na pytania Anelli półsłówkami i nie reagował na jej egzaltowane okrzyki zdumienia, co chwila wracając chmurnym wzrokiem w stronę Viorela.

Jeszcze przed końcem biesiady Maeve wstała z krzesła i zaczęła żegnać się z gośćmi. Dopiero wtedy, przy pełzającym świetle świec, Lirr zauważyła, że księżna jest jeszcze bledsza niż zazwyczaj, że ma zmęczone

i podkrążone oczy, a krwistoczerwona suknia uwydatnia jej wychudłe ramiona.

Gdy zamieniała ostatnie słowa z Caelem, jej ręka kurczowo zacisnęła się na oparciu krzesła. Nagle w pół zdania zamilkła, otworzyła szeroko oczy, jakby zobaczyła coś za jego plecami i bez ostrzeżenia miękko osunęła się na podłogę. Goście natychmiast wstali od stołu i odruchowo rozsunęli się na boki, ich przyciszone głosy zaszemrały jak poruszone wiatrem jesienne liście. Cael padł na kolana i uniósł zupełnie bezwładną głowę matki.

– Zrób coś! – warknął na Viorela, który bezszelestnie przecisnął się na drugą stronę stołu i stanął u jego boku. Księżna poruszyła powiekami, ale nie ocknęła się, jej ciałem zaczęły wstrząsać silne spazmy, palce u rąk wykrzywiły jej się jak szpony drapieżnego ptaka, głowę z jękiem odrzuciła do tyłu.

Viorel położył otwartą dłoń na jej czole i zaczął coś szeptać, szybko i gardłowo. Lirr rozpoznała tylko jedno słowo – mahate – co po annarsku znaczyło „odejdz” lub „wynoś się”, o ile dobrze pamiętała. Jeden z ludzi Hego, Tiran, pochodził z Południa, ale mówił w dialekcie Nomadów.

– Musimy ją stąd zabrać. – Medyk zwrócił się do Caela. Ten tylko skinął głową, nie odrywając wzroku od Maeve. Delikatnie podniósł ją z podłogi i skierował się ku prywatnym komnatom, ignorując chaos, jaki zapanował wokół. Goście, zmieszani i pobladli, zaczęli pośpiesznie opuszczać jadalnię, szepcząc modlitwy i zapewniając żarliwie o swoim oddaniu. Lirr poże-

gnała się z nimi zdawkowo, ledwie skinieniem głowy, i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę kuchni. W progu stała Rosmerta, jej poszarzała twarz zastygła w wyrazie przerażenia.

– Czy mogę jakoś pomóc? – zapytała bezradnie dziewczyna. Niezależnie od swych stosunków z Maeve nie potrafiła teraz stać bezczynnie z boku. Chciała być potrzebna, mieć jakieś zadanie, działać.

– Przygotuję księżnej zioła. – Rosmerta, mimo szoku wymalowanego na twarzy, jak zwykle była opanowana, rzeczowa. Lirr zauważyła jednak, że z niepokojem odprowadziła wzrokiem Viorela, który podążył za Caelem do komnaty księżnej.

W kuchni ochmistrzyni szybko przygotowała wrzątek, do którego wrzuciła pięć czy sześć różnych rodzajów ziół, suszone liście, płatki wonnych kwiatów, zmielone korzenie. Na koniec dołała do wywaru czegoś z niewielkiej buteleczki z czarnego szkła, której Lirr nigdy wcześniej u niej nie widziała.

Po chwili wszystkie aromaty połączyły się i wypełniły kuchnię. Lirr oparła się o brzeg kuchennego stołu, wpatrując się w ogień paleniska, nad którym wisiał kociołek z wywarem. W pierwszym odruchu chciała pobiec za Caelem, dodać mu otuchy, zrobić... cokolwiek, co dodałoby mu sił, ale nie mogła, chodziło przecież o Maeve. Przyglądając się bezradnie kolejnemu atakowi jej choroby, czuła się niemal winna. Nawet jeżeli jej nienawidziła, to przecież nie życzyła jej, żeby tak cierpiała. W każdym razie nie w ten sposób. Zagryzła wargi i nerwowo przeczesła ręką włosy.

Rosmerta pewną ręką mieszała miarowo w kociołku i nuciła coś pod nosem, jak to miała w zwyczaju. Dźwięk po dźwięku, zwrotka po zwrotce, Lirr zaczęła powoli tonąć w przyptywie niespodziewanego rozprężenia. Gonitwa dręczących myśli zwolniła, a umysł zasnęła ciężka, słodka, lepka chmura. Wciągnęła nosem aromat wydobywający się znad paleniska, starając się rozpoznać poszczególne składniki: dziką różę, jaśmin, miętę, białą szalwzię... Coś w jej podświadomości obudziło się i zaczęło formułować pytania, których nie mogła jeszcze pojąć. Być może jakieś wspomnienie sprzed dnia, kiedy Hego wyłowił ją z morza.

– Znam ten zapach... – szepnęła, choć wcale nie zamierzała mówić tego głośno. Ta myśl uderzyła ją tak nagle, że nie mogła zapanować nad swoimi ustami. Rosmerta uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem.

– Przyjdzie dzień, kiedy wszystko nabierze sensu, dziecko.

– Myślisz, że kiedyś wszystko sobie przypomnę?

– Tego nie powiedziałam. – Rosmerta nie byłaby sobą, gdyby owijała w bawełnę. – Tak naprawdę nie jest przecież najważniejsze, kim byłaś, ale kim jesteś. W dniu, kiedy odpowiesz sobie na to pytanie, zagadka twojej przeszłości przestanie być dla ciebie aż tak istotna.

Lirr przymknęła oczy, rozważając jej słowa. Zapach z kociołka był coraz słodszy i coraz bardziej zniewalający, wręcz odurzający. Poczuła dziwną lekkość, jej mięśnie stawały się miękkie, wyraźniej słyszała wszystkie kuchenne szmery i odgłosy z dziedzińca. Przypomnia-

ło jej się morze, poranne, spowite słoną mgłą, głęboka toni unosząca się powolnym rytmem, powtarzającym takt bicia jej serca, i odległy zarys lądu gdzieś na horyzoncie. Szum fal, stłumiony jak szept, cichł, im bardziej oddalała się od powierzchni wody. Mleczne opary rozstępowały się przed nią, opadając miękko niżej i niżej, gdy jej czarne skrzydła niosły ją ku otwartemu morzu, ponad piaszczystym przylądkiem i niewyraźną sylwetką znikającego wybrzeża.

– Gotowe! – Głos ochmistrzyni przywołał ją do rzeczywistości. Drgnęła niespokojnie, przełknęła gorzki smak w ustach, a gdy otworzyła oczy, Rosmerta stała przed nią z dymiącym pucharem, napełnionym naparem z ziół. W świetle paleniska oświetlającym jej postać od tyłu Lirr wydawało się, że starsza kobieta promieniuje delikatnym, złotym blaskiem. Zamrugowała, ale złudzenie nadal trwało. Uśmiechnęła się do niej niepewnie, wciąż nie mogąc się pozbyć z głowy resztek dziwnej wizji.

– Zanieś to księżnej – rozkazała Rosmerta. – To przywróci jej równowagę.

Lirr ostrożnie wzięła puchar i podziękowała skinieniem. Poczucie celowości tchnęło w nią orzeźwiającą energię, nawet jeżeli aromatyczne opary sprawiały, że chwiała się lekko na nogach. Gdy dotarła do sypialni, zastała drzwi otwarte, a Maeve leżącą nieruchomo na swoim imponującym łóżu z baldachimem. Obok, z wyrazem najwyższego skupienia na twarzy, siedział Viorel i trzymał ją za bezwładną rękę. Cael stał nieopodal, oparty o szeroki parapet, z założonymi rękami

mi i zaciśniętą szczęką. Otwarte okno wpuszczało do komnaty nocną bryzę i trupioblade światło księżyca.

– Rosmerta zaparzyła zioła – wyjaśniła dziewczyna, delikatnie stawiając puchar na stoliku obok łóżka. Viorel zmierzył ją swoim przenikliwym spojrzeniem i lekko wyduł wargi w wyrazie pogardy.

– Gdyby zioła Rosmerty pomagały księżnej, to nie byłbym tutaj potrzebny – syknął zjadliwie.

Lirr ugryzła się w język, żeby nie odparować, że jak na razie on też jeszcze niczego szczególnego nie osiągnął i spojrzała tylko pytająco na Caela. Nic, zupełna pustka. Chłopak wydawał się nieobecny, nie patrzył nawet na matkę, ale na nieokreślony punkt gdzieś w dali.

Zauważyła, że porusza co chwilę żuchwą, zaciskając nerwowo zęby. Bolesny ucisk w pobliżu serca sprawił, że chciała po prostu podejść i go objąć, zapewnić, że wszystko będzie w porządku, ale tak jak Cael czuła tylko bezsilność. Obydwoje byli myśliwymi, wojownikami, polegali na swojej sile, sprawności i inteligencji. Żadna z tych cech nie mogła jednak teraz pomóc Maeve.

Po chwili wahania Lirr podeszła do parapetu. Nie miała żadnego konkretnego planu, nie odważyła się nawet dotknąć księcia. Stała obok niego przy oknie i kątem oka obserwowała medyka.

Dopiero teraz zauważyła, że na stoliku przy łóżku ustawił szereg dziwnych przedmiotów; małe, kamienne i kryształowe stożki, przezroczyste, opalizujące kule, długie złote szpilki i niewielki ozdobny nożyk, który wziął właśnie do ręki. Lirr instynktow-

nie drgnęła, gdy medyk zbliżył nóż do twarzy chorej, zatrzymał się na chwilę, znieruchomiał, powoli przesunął rękę niżej i zatrzymał się ponownie nad jej głębokim dekoltem.

Lirr poruszyła się nerwowo jak dzikie zwierzę w potrzasku, ale Cael nadal stał zupełnie obojętnie. Viorel nawet na nich nie spojrzał, kiedy szybkim ruchem przeciął głęboko skórę nad lewą piersią księżnej. Krew popłynęła wartką strużką i stopiła się z karminową tkaniną sukni. Maeve jęknęła głucho, ale nie odzyskała przytomności.

Cael tylko mocniej zacisnął szczękę, Lirr poczuła ucisk w płucach, jakby nagle w komnacie zabrakło powietrza. Zakręciło jej się w głowie i dopadły ją mdłości. Instynktownie odwróciła się do okna i wychyliła mocno na zewnątrz, łapiąc powietrze krótkimi haustami.

– Widok krwi bywa trudny dla kobiet. – Viorel odwrócił się i spojrzał na nich przez ramię niemal z satysfakcją.

– To nie widok, tylko ten... zapach. Ten smród! – dodała, z trudem powstrzymując wymioty.

– Smród? – Medyk spojrzał na nią uważniej, nagle wyraźnie zaintrygowany.

– Drażniący, słodki, ale... – nie dokończyła, walcząc z odruchem wymiotnym. Cael obudził się nagle z letargu i odwrócił się w jej stronę. Popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

Viorel zebrał trochę krwi na niewielki srebrny talerzyk i zaczął jej się przyglądać, przechylając go tak,

aby czerwona ciecz spływała w różnych kierunkach. Westchnął jak człowiek, który oczekiwał złych wiadomości i w końcu je otrzymał.

– Doskonale, Elirrianoi – pochwalił ją, dotykając odruchowo czoła. W jego głosie słyszeć było żal. – To nie jest choroba ciała.

– Co masz na myśli? – Cael nadal nie odwracał od niej wzroku. Nie zrozumiał ani pierwszego, ani drugiego stwierdzenia.

– To zapach śmierci. Księżna została przeklęta.

Krew i wino

Miarowy szcęk oręża zgrał się z rytmem, w jakim było jej zdenerwowane serce. Po ponad dwóch godzinach wyczerpującej walki na ciężkie, oburęczne miecze przyszedł czas na bardziej widowiskowy trening z szablami. Natarcie, atak, odbicie, pchnięcie, sparowanie, krok, krok, kontra. Szczęk, szczęk, brzdęk, świst, oddech, podskok, uderzenie.

Lirrian oparła głowę o kolumnę zacienionej arkady, z której od świtu w milczeniu obserwowała rycerski dziedziniec. Jej twarz płonęła. Szafirowe niebo pulsowało słonecznym żarem, rozmywając ostre kontury barbakanu. Od rana temperatura powietrza z minuty na minutę rosła i teraz nawet kamień kolumny wydawał się nieznacznie gorący.

Cael z impetem cisnął szablą, po czym niedbale zrzucił z siebie przepoconą tunikę. Lirr przygryzła wargę, starając się nie gapić na jego gładką, wyrzeź-

bioną klatkę piersiową i mięśnie smukłego brzucha, pokryte teraz błyszczącymi kropelkami potu.

– Na wszystkie głowy Żmija ... – przeklęła do siebie szeptem i mocniej przycisnęła policzek do arkady.

Deen zaśmiał się głośno i wytarł spocone czoło przybrudzonym rękawem koszuli, szykując się do kolejnego starcia. Cael ćwiczył zwykle walkę na miecze ze swoim barczystym kapitanem straży, ale Deen był mistrzem lżejszej broni. Szybki i zwinny jak kot, nieustannie zataczał kręgi po rozgrzanych zamkowych dziedzińcu, nie pozwalając księciu nawet na chwilową dekoncentrację.

– Jeszcze! – warknął do niego Cael i wyciągnął szablę, zaraz potem krzyżując w powietrzu ręce. Jego jasne, kręcone włosy sterczały dziko we wszystkich kierunkach.

Deen znów zaśmiał się i ugiął nogi w kolanach, czekając na odpowiedni moment do ataku. Był niższy od księcia, ale za to niezwykle wprawny w szermierce. Jego opalona, lekko piegowata twarz i ciemnobrązowe włosy nadawały mu szelmowskiego uroku.

Cael zawirował szablami nad głową i ruszył w stronę Deena, ten jednak w mgnieniu oka sparował uderzenie i obrócił się wokół własnej osi. Ruch był tak nieoczekiwany, że Cael na moment stracił równowagę i upadł na jedno kolano.

– Być może książę potrzebuje przerwy? – zadrwił Deen, ale Lirr dostrzegła, że sam oddychał ciężko.

Cael odburknął coś niezrozumiale i ruszył w stronę prostego dębowego stołu, na którym czekał na niego

przygotowany przez służbę dzban i kubek. Nalał sobie do pełna i wypił duszkiem, niemal się przy tym dławiąc. Jego obnażona klatka piersiowa unosiła się w szaleńczym tempie w górę i w dół, a żyły na ramionach pulsowały wściekłym rytmem.

Lirr mimowolnie zacisnęła dłoń w pięści i niewiele myśląc ruszyła prawie biegiem w dół po schodach, prosto na zalany żarem dziedziniec.

„Dość tego!” – pomyślała ze złością. Nie miała ochoty dłużej oglądać tego spektaklu i patrzeć bezczynnie, jak Cael zamęcza się do granic możliwości, byle tylko nie poddać się smutkowi. Gdy znalazła się na dole, słońce oślepiło ją boleśnie. Zatrzymała się na skraju cienia rzucanego przez arkady.

Cael wypił jeszcze jeden kubek, po czym rzucił się znów do ataku. Tym razem Deen nie odskoczył w porę i jedna z książęcych szabli ugodziła go powyżej łokcia. Na jego białej koszuli prawie natychmiast wykwitła czerwona plama. Syknął przeciągle, ale nie przerwał walki. Cael znów burknął coś do siebie i zmienił pozycję. Jego twarz zastygła w zaciętym skupieniu. Lirr poczuła mrowienie na końcach palców i karku, wiedziała, że musi natychmiast coś zrobić.

– Cael! – krzyknęła z całych sił, pochylając się mimowolnie do przodu. Włosy opadły jej na twarz, oklejając czoło.

Bez reakcji. Książę podrzucił szablę, zmieniając w powietrzu ręce. Deen westchnął głośno i zawirował swoimi ostrzami z nonszalancką precyzją. Obydwaj zrobili kilka kroków w prawo, nie spuszcza-
jąc

się nawzajem z oka, zataczając szeroki krąg na rozgrzanym dziedzińcu. Zaczynała mieć tego wszystkiego dość.

– Cael! – krzyknęła głośniej, robiąc jednocześnie kilka kroków do przodu. Słońce uderzyło ją jak rozgrzane ostrze, powstrzymując w biegu. Nie zareagował, dalej w skupieniu śledząc każdy ruch swojego przyjaciela. Lirr poczuła, że zaraz straci nad sobą panowanie. „Muszę to w końcu przerwać!” – pomyślała z gniewem.

– Cael!!! – ryknęła z całych sił. Książę widocznie stracił koncentrację i skierował na nią przyćmione spojrzenie.

– Czego chcesz? – warknął przez zęby.

– Powinieneś odpocząć – odparła trochę niepo radnie. Chciała tylko powstrzymać ten szaleńczy trening. Przerwać to jego desperackie, obsesyjne dążenie do zapomnienia o cieniu śmierci, który wisiał nad Ysborgiem.

– Nie sędzę – prychnął, krzywiąc się. Lirr ruszyła w jego stronę, ignorując dyszącego Deena, który przypatrywał się jej z rodzajem chorej fascynacji na czerwonej ze zmęczenia twarzy.

– Cael, nie możesz tak się od wszystkiego odcinać – powiedziała znacznie ciszej, gdy stanęła tuż przed nim. Chłopak skrzywił się i nalał sobie kolejny kubek napoju z dzbana. Wypił do dna jednym haustem.

– Będziesz mi teraz matkować? – zapytał z pogardą w głosie.

Lirr znieruchomiała. Deen słyszalnie wciągnął powietrze i odsunął się kilka kroków. Gorąca krew boleśnie pulsowała jej w skroniach, chociaż fala zalewającej jej od środka wściekłości była zimna jak lód. Opanowała się z trudem i zacisnęła zęby, zmuszając się do spokoju.

– Od świtu ćwiczysz bez wytchnienia, to nie jest sposób na... – Zdobyła się na łagodny, ugodowy ton, ignorując serce, które łomotało furiacko jak uwięziony drapieżny ptak. Cael zmrużył tylko oczy i wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu.

– To właśnie jest mój sposób! – Przerwał jej charczącym głosem, uderzając się w nagą pierś szablą. – Szkoda tylko, że wszyscy ci tchórze ciągle dają mi przewagę. – Rozejrzał się dookoła, splunął i uśmiechnął się paskudnie. – Jeszcze! – ryknął do Deena i ruszył w jego stronę.

Chcąc go powstrzymać, Lirr odruchowo położyła mu rękę na ramieniu. Jego skóra płonęła żywym ogniem. Wzdrygnęła się i odsunęła natychmiast. Wydawało się, że Cael nawet nie odczuł jej dotyku. Parł dalej do przodu, w stronę swojego przeciwnika, kręcąc szablą malownicze młynki.

– Twoja matka cię potrzebuje! – rzuciła z desperacją w głosie, nie mając już innych argumentów, które mogłyby go powstrzymać. Książę o dziwo zatrzymał się wpół kroku, spuścił głowę i dopiero po dłuższej chwili odwrócił się do niej gwałtownie. Mokre od potu włosy obkleiły mu twarz, oddychał ciężko przez popękane

usta. Podeszedł do niej szybko i zmierzył nieprzyjemnie wyobcowanym spojrzeniem.

– Nie próbuj dawać mi rad co do mojej matki, Lirr! – wycedził cichym, ostrzegawczym tonem. – Ty nawet nie pamiętasz swojej! – dodał z okrutnym uśmiechem.

Jej serce zatrzymało się na moment, świat wokół pociemniał. Uderzyła ją taka fala wściekłości i szoku, że dopiero po chwili była w stanie cokolwiek z siebie wydusić. Deen przyglądał się im w rosnącym zdumieniu, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości od przyjaciela. Nagle, niewiele myśląc, Lirr zupełnie instynktownie złapała za stojący tuż obok dzban.

– Za to ty zapamiętasz to! – wrzasnęła mu prosto w twarz i zdecydowanym ruchem wylała całą zawartość na jego głowę. Natychmiast uderzyły ją dwie rzeczy: dziki wybuch śmiechu Deena, któremu aż szablą wypadła z dłoni, i widok krwiście czerwonych, zmierzwionych włosów Caela. Jego piękna naga klatka piersiowa spływała teraz połyskującymi rubinowymi kropelkami. Zapewne powinno ją to również rozbawić, ale była na to nadal zbyt wściekła. Poza tym dotarło do niej coś jeszcze.

– Wino?! Jesteś pijany! – krzyknęła, oburzona nagłym odkryciem. Cael zamrugał sklejonymi czerwoną cieczą rzęsami i uśmiechnął się kącikami ust.

Nie mogła teraz nawet na niego patrzeć. Nigdy nie widziała go w takim stanie ani nie usłyszała tak gorzkich słów. Pijany czy nie, zranił ją; zranił tym mocniej, że dokładnie znał jej słabości i żale. Odwróciła się

zamaszyście i ruszyła gwałtownie przed siebie, klnąc wściekle pod nosem.

Gdy była już na skraju dziedzińca, dobiegł ją wesoły głos Deena, który w końcu zdołał opanować swój dziki wybuch śmiechu.

– Dobra robota Lilly, ty mała harpio! Ktoś w końcu musiał to zrobić!

– Mówiłam ci już, żebyś tak mnie nie nazywał! – burknęła i ruszyła jeszcze szybciej przed siebie.